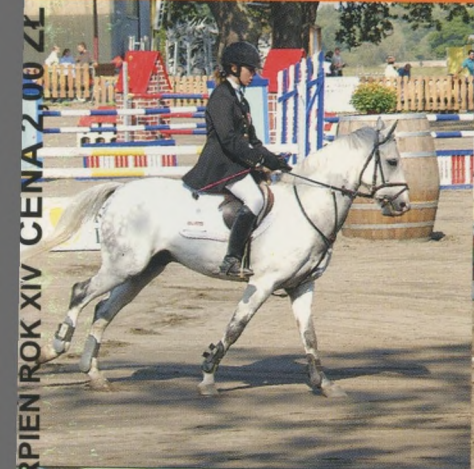
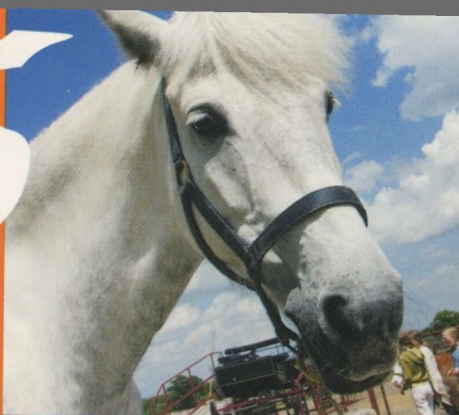


Wydawnictwo Miejskie

GAZETA
ŚREMSKA



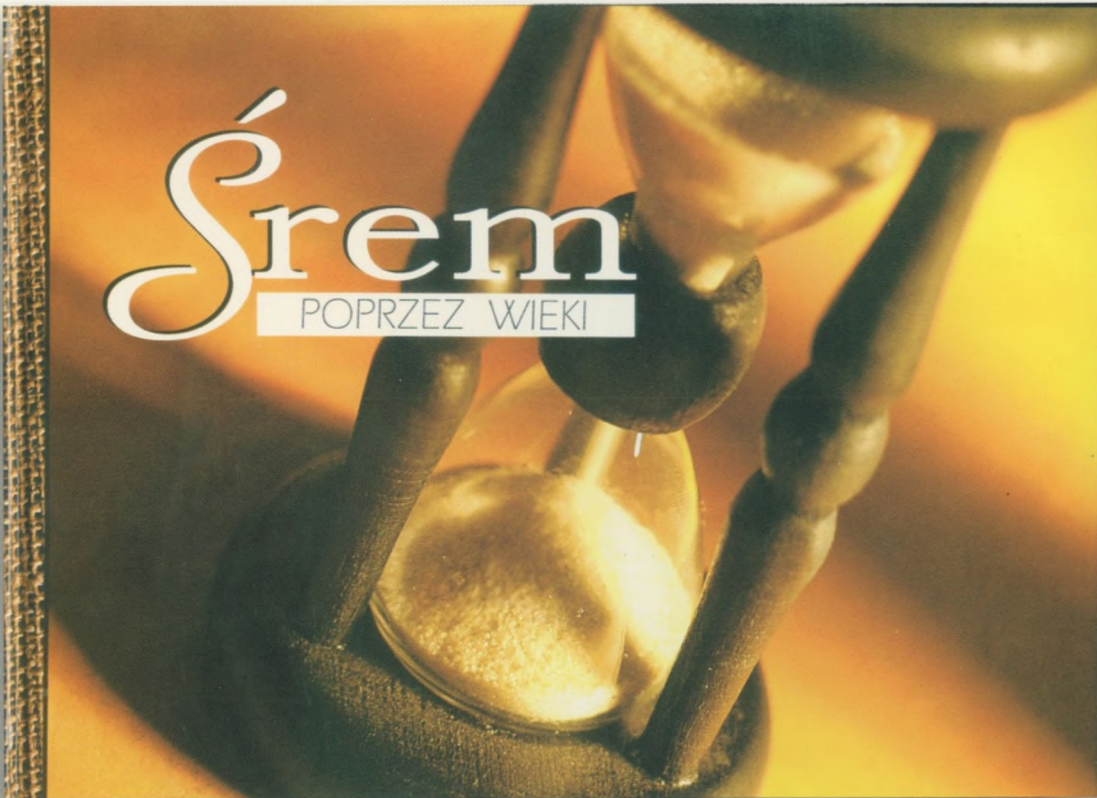
**MISTRZOSTWA
EUROPY**

JASZKOWO

28.07. - 1.08. 2004



ISSN 1231-7476 MIESIĘCZNIK NR 7/8 LIPIEC/SIERPIEŃ ROK XIV CENA 2,00 ZŁ

A close-up photograph of an hourglass with sand falling from the top bulb into the bottom bulb. The hourglass is made of dark wood or metal. The background is a warm, golden-yellow color. The title 'Śrem' is written in a large, white, stylized font, with 'POP RZEZ WIEKI' in a smaller, white, sans-serif font below it.

Śrem

POP RZEZ WIEKI

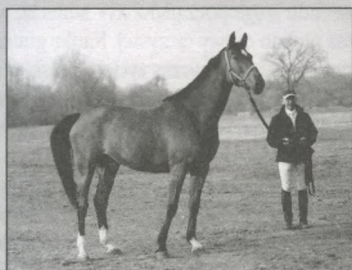
II Nagroda w Konkursie „IZABELLA”
na Wydarzenie Muzealne Roku
w Wielkopolsce
w kategorii wydawnictwo
dla
MUZEUM ŚREMSKIEGO w ŚREMIE

Do nabycia w Muzeum Śremskim
oraz księgarniach na terenie Śremu

W numerze lipcowo-sierpniowym:



**ŚREMIANIN HELIODOR
ŚWIĘCICKI (1854-1923) 8**



**CENTRUM HIPIKI -
NOWE WYZWANIA..... 20**



Spełnione marzenie 24



Spacerkiem w przeszłość 31



Uroczystość w Collegium im. Heliodora Świącickiego w Śremie

STANOWISKO
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 2 czerwca 2004 r.



w sprawie uhonorowania 150. rocznicy urodzin śremianina, pierwszego rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu profesora Heliodora Święcickiego

Rada Miejska w Śremie, w 85. rocznicę utworzenia Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, w imieniu społeczności śremskiej pragnie uhonorować profesora Heliodora Święcickiego - współzałożyciela uczelni, syna Ziemi Wielkopolskiej, śremianina.

W 2004 roku przypada 85. rocznica powstania Wszechnicy Piastowskiej, której sukcesorem jest dzisiejszy Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Do utworzenia uczelni doszło po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku, dzięki bezprzykładowemu zaangażowaniu najlepszych synów wielkopolskiej ziemi, w szczególności zaś członka Komisji Organizacyjnej Uniwersytetu Polskiego w Poznaniu prof. Heliodora Święcickiego.

Życie i działalność Heliodora Święcickiego przypadło na szczególnie trudny okres dla społeczeństwa polskiego pod zaborem pruskim oraz w pierwszych latach niepodległej Rzeczypospolitej.

Urodził się 3 lipca 1854 roku w Śremie w rodzinie, której genealogia rodu sięga początków XIV stulecia, w której bardzo starannie kultywowano narodowe, polskie tradycje kulturowe oraz piękno mowy ojczystej. Naukę gimnazjalną rozpoczął w okresie powstania styczniowego. Miasto rodzinne Śrem promieniowało wówczas życiem polskim na całą okolicę, pozostawało w ścisłej łączności z kulturą Poznania. Gimnazjum, do którego uczęszczał, szczyciło się sporą liczbą wybitnych absolwentów. Byli to: ksiądz Piotr Wawrzyniak, powieściopisarz Teodor Jaske-Choiński, sławista Antoni Kalina oraz ks. Edmund Majkowski - członek Polskiej Akademii Umiejętności.

W 1863 roku w gimnazjum śremskim powstaje tzw. kółko Marianów noszące też nazwę Towarzystwa Tomasza Zana. Towarzystwo posiadało własny księgozbiór arcydzieł literatury polskiej, podręczników i dzieł naukowych. W organizacji tej wybitną rolę odegrał Heliodor Święcicki, jako inspirator obchodzonych rocznic narodowych i ważniejszych wydażeń w życiu Polaków pod wszystkimi zaboremi.

Po ukończeniu gimnazjum w 1873 roku został studentem Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Wrocławskiego. Tam też włączył się czynnie do pracy w polskich organizacjach młodzieżowych, sercem pozostając w rodzinnej Wielkopolsce. Oprócz czynnego udziału w organizacjach młodzieżowych dodatkowo dokształcał się w różnych dziedzinach wiedzy humanistycznej. Tytuł doktora wraz z dyplomem medycyny i chirurgii otrzymał 1 sierpnia 1877 roku, wkrótce też z wynikiem bardzo dobrym zdał obowiązkowy wówczas tzw. krajowy egzamin lekarski. Po uzyskaniu dyplomu pogłębiał zdobytą wiedzę specjalizując się w ginekologii i położnictwie. Bardzo aktywny, tak w kraju jak i w Berlinie, gdzie systematycznie uzupełniał wiedzę praktyczną w obranej specjalności.

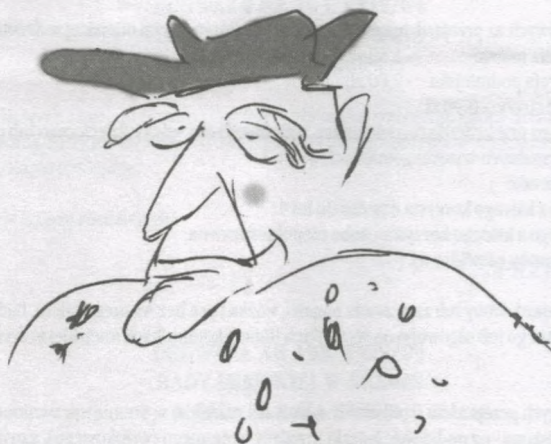
W 1833 roku wraca na stałe do Poznania, gdzie w niedługim czasie staje się powszechnie cenionym lekarzem i człowiekiem, tak w opinii ludności polskiej jak i niemieckiej. Człowiek wrażliwy na ludzkie cierpienia i krzywdę, pracowity i obowiązkowy, o ujmującej prostocie i skromności zjednywał sobie pełne zaufanie wśród rodaków i osób narodowości niemieckiej.

Heliodor Święcicki był inicjatorem, budowniczym oraz pierwszym rektorem nowoczesnej wyższej uczelni - Uniwersytetu Poznańskiego, który po jego śmierci pozostał najważniejszą i najwyższą polską placówką naukową, promieniującą kulturą polską daleko poza granice Wielkopolski.

Heliodor Święcicki umiera 12 października 1923 roku. Jego szczątki spoczywają obecnie na Skalce Poznańskiej, w kościele św. Wojciecha.

Z okazji przypadającej w 2004 roku 150. rocznicy urodzin prof. Heliodora Święcickiego, jak również 85. rocznicy powstania Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu pragniemy uczcić jego ogromny dorobek naukowy i utrwalić Jego osobę w świadomości mieszkańców Wielkopolski nadając nazwę siedzibie śremskiej placówki naukowo-badawczej i dydaktycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu Collegium Heliodora Święcickiego w Śremie.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski



rys. R. Zawadzki

Prof. dr hab. Stanisław Lorenc
Rektor Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu

UCHWAŁA NR 191/XXIV/04
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 28 maja 2004 r.

w sprawie zaliczenia dróg do kategorii dróg gminnych we wsi Psarskie

Na podstawie art. 7 ust. 2 ustawy z dnia 21 marca 1985 r. o drogach publicznych (Dz. U. z 2000 r. Nr 71, poz. 838 z późn. zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

Zalicza się do kategorii dróg gminnych ulice we wsi Psarskie, wymienione w załączniku nr 1 i przedstawione graficznie na mapie stanowiącej załącznik nr 2 do uchwały.

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 3

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

UCHWAŁA NR 192/XXIV/ 04
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 28 maja 2004 r.

w sprawie ustalenia cen za przewozy osób środkami komunikacji miejskiej w Śremie

Na podstawie art. 8 ust. 1 ustawy z dnia 5 lipca 2001 r. o cenach (Dz. U. Nr 97, poz. 1050 z późn. zm.) oraz § 1 ust. 3 rozporządzenia Ministra Transportu i Gospodarki Morskiej z dnia 9 kwietnia 1999 r. w sprawie sposobu ustalenia opłat dodatkowych z tytułu przewozu osób oraz zabieranych ze sobą do środka transportowego zwierząt i rzeczy (Dz. U. Nr 38, poz. 376) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

1. Ceny biletów jednorazowych za przejazd autobusem na liniach komunikacji miejskiej w Śremie wynoszą:
 - bilet normalny I strefa miasto - 1,50 zł;
 - bilet normalny II strefa podmiejska - 2,00 zł;
 - bilet ulgowy dla I i II strefy - 0,90 zł.
2. Przewóz bagażu ręcznego przekraczającego wymiary 100×60×50 cm, wózka dziecięcego lub psa podlega opłacie jak za przewóz osób na podstawie biletów normalnych wyszczególnionych w ust. 1.
3. Nie podlega opłacie przewóz:
 - a) wózka dziecięcego z którego korzysta dziecko do lat 4;
 - b) wózka inwalidzkiego z którego korzysta osoba niepełnosprawna;
 - c) psa przewodnika osoby niewidomej.

§ 2

Opłata dodatkowa za przejazd osoby lub za przewóz bagażu, wózka i psa bez ważnego biletu, bądź bez ważnego dokumentu uprawniającego do przejazdu bezpłatnego lub ulgowego na wszystkich liniach komunikacji miejskiej w Śremie wynosi 50,00 zł.

§ 3

Do korzystania z bezpłatnych przejazdów środkami komunikacji miejskiej w Śremie uprawnione są następujące osoby:

- 1) inwalidzi wojenni i wojskowi - na podstawie książki inwalidy wojennego (wojskowego), zawierającej wpis o zaliczeniu do odpowiedniej grupy inwalidów albo o całkowitej lub częściowej niezdolności do pracy, albo o całkowitej niezdolności do pracy oraz niezdolności do samodzielnej egzystencji;
- 2) dzieci w wieku do 4 lat;
- 3) osoby, które ukończyły 70 lat - na podstawie dowodu osobistego;
- 4) inwalidzi I grupy wraz z przewodnikami;
- 5) ociemniai i niewidomi wraz z przewodnikami;
- 6) dzieci i młodzież dotknięte inwalidztwem lub niepełnosprawne do ukończenia 24 roku życia oraz studenci dotknięci inwalidztwem lub niepełnosprawni do ukończenia 26 roku życia;
- 7) opiekun lub przewodnik osoby wymienionej w pkt. 6, którym jest jedna osoba pełnoletnia, a w przypadku osoby niewidomej - osoba, która ukończyła 13 lat.

§ 4

Do korzystania z ulgowych przejazdów środkami komunikacji miejskiej w Śremie uprawnione są następujące osoby:

- 1) żołnierze odbywający niezawodową służbę wojskową, z wyjątkiem służby okresowej i nadterminowej, oraz osoby spełniające obowiązki tej służby w formach równorzędnych;
- 2) dzieci w wieku powyżej 4 lat do rozpoczęcia nauki w szkole podstawowej;
- 3) dzieci i młodzież w okresie od rozpoczęcia nauki w szkole podstawowej do ukończenia gimnazjum, szkoły ponadpodstawowej lub ponadgimnazjalnej-publicznej lub niepublicznej o uprawnieniach szkoły publicznej, nie dłużej niż do ukończenia 21 roku życia, a studenci do ukończenia 26 roku życia;
- 4) emeryci i renciści oraz współmałżonkowie, na których pobierane są zasiłki rodzinne;
- 5) kombatanci - na podstawie legitymacji kombatanckiej;
- 6) głuchoniemi - na podstawie legitymacji Polskiego Związku Głuchych albo orzeczenia właściwego organu orzekającego o całkowitej głuchocie lub obustronnego upośledzenia słuchu, albo zaświadczenia wystawionego przez zakład opieki zdrowotnej;

§ 5

Do dokumentów poświadczających uprawnienia, o których mowa w § 3 i 4, tamże nie wymienionych, stosuje się odpowiednio przepisy rozporządzenia Ministra Infrastruktury z dnia 25 października 2002 r. w sprawie rodzajów dokumentów poświadczających uprawnienia do korzystania z ulgowych przejazdów środkami publicznego transportu zbiorowego (Dz.U. Nr 179, poz. 1495, zm. Dz. U. z 2003 r. Nr 220, poz. 2182).

§ 6

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 7

Traci moc uchwała Nr 473/XLIII/02 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 22 lutego 2002 r.

§ 8

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od daty ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

**UCHWAŁA NR 193/XXIV/04
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 28 maja 2004 r.**

w sprawie ustalenia szczegółowych zasad utrzymania czystości i porządku na terenie gminy Śrem
Na podstawie art. 4 ustawy z dnia 13 września 1996 r. o utrzymaniu czystości i porządku w gminach (Dz. U. Nr 132, poz. 622 z późn. zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

(Treść szczegółowych zasad w sześciu rozdziałach)

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

**UCHWAŁA NR 198/XXIV/04
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 28 maja 2004 r.**

zmieniająca uchwałę w sprawie uchwalenia budżetu gminy Śrem na 2004 rok

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 4 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 z późn. zm.) i art. 124 ustawy z dnia 26 listopada 1998 r. o finansach publicznych (Dz. U. z 2003 r. Nr 15, poz. 148 z późn. zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

W uchwale Nr 157/XX/04 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 30 stycznia 2004 r. w sprawie uchwalenia budżetu gminy Śrem na 2004 r., zmienionej uchwałą Nr 180/XXII/04 z dnia 2 kwietnia 2004 r., zarządzeniem Nr 221/04 Burmistrza Śremu z dnia 6 maja 2004 r. wprowadza się następujące zmiany:

(Treść szczegółowych zmian rzeczowych i kwotowych w uchwale budżetowej Gminy Śrem w 2004 roku.)

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 3

Uchwała podlega opublikowaniu.

§ 4

Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

**UCHWAŁA NR 202/XXVII/04
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 29 czerwca 2004r.**

w sprawie ustalenia dla terenu gminy Śrem liczby punktów sprzedaży napojów zawierających powyżej 4,5% alkoholu (z wyjątkiem piwa), przeznaczonych do spożycia poza miejscem sprzedaży jak i w miejscu sprzedaży oraz zasad usytuowania na terenie gminy Śrem miejsc sprzedaży i podawania napojów alkoholowych

Na podstawie art. 12 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 26 października 1982 r. o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi (Dz. U. z 2002 r. Nr 147, poz. 1231 z późn. zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

Ustala się na obszarze gminy Śrem liczbę 70 punktów sprzedaży napojów zawierających powyżej 4,5% alkoholu (z wyjątkiem piwa) przeznaczonych do spożycia poza miejscem sprzedaży.

§ 2

Ustala się na obszarze gminy Śrem liczbę 70 punktów sprzedaży napojów zawierających powyżej 4,5% alkoholu (z wyjątkiem piwa) przeznaczonych do spożycia w miejscu sprzedaży.

§ 3

1. Ustala się następujące zasady usytuowania na terenie gminy Śrem miejsc sprzedaży i podawania napojów alkoholowych:

1) punkty sprzedaży i podawania napojów powyżej 4,5% zawartości alkoholu (z wyjątkiem piwa) lokalizuje się w odległości nie mniejszej niż 100 metrów od szkół, przedszkoli, placówek oświatowo-wychowawczych, opiekuńczych, kościołów, kaplic, kaplic cmentarnych, domów pogrzebowych, zakładów opieki zdrowotnej i społecznej, obiektów jednostki wojskowej, przy czym odległość ustala się według mierzonej drogi od wejścia do punktu sprzedaży do wejść wyżej wymienionych obiektów;

2) punkty sprzedaży i podawania napojów do 4,5% zawartości alkoholu oraz piwa lokalizuje się w odległości nie mniejszej niż 30 metrów od szkół, przedszkoli, placówek oświatowo-wychowawczych, opiekuńczych, kościołów, kaplic, kaplic cmentarnych, domów pogrzebowych, zakładów opieki zdrowotnej i społecznej, obiektów jednostki wojskowej, przy czym odległość ustala się według mierzonej drogi od wejścia do punktu sprzedaży do wejść wyżej wymienionych obiektów;

3) sprzedaż napojów do 4,5% zawartości alkoholu oraz piwa przeznaczonych do spożycia na miejscu może być prowadzona w ogródkach letnich (określenie ogródek letni oznacza odgródzone od reszty terenu, wydzielone miejsce przeznaczone do konsumpcji, wyposażone w stoły i miejsca do siedzenia);

4) zorganizowany w oparciu o jednorazowe zezwolenie punkt sprzedaży i podawania napojów do 4,5% zawartości alkoholu oraz piwa może być zlokalizowany w odległości mniejszej od określonej w ust.1 pkt 2.

2. Zasady wyrażone w ust.1 pkt 1 i 2 nie dotyczą hotelowych lokali gastronomicznych.

§ 4

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 5

Tracą moc: uchwała nr 423/XXXVII/01 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 27 września 2001 r. w sprawie ustalenia dla terenu gminy Śrem liczby punktów sprzedaży napojów zawierających powyżej 4,5% alkoholu (za wyjątkiem piwa) przeznaczonych do spożycia poza miejscem sprzedaży i w miejscu sprzedaży oraz zasad usytuowania na terenie gminy Śrem miejsc sprzedaży napojów alkoholowych i warunków sprzedaży tych napojów (Dz. Urz. Woj. Wielk. z 2001 r. Nr 127, poz. 2481 oraz z 2002 r. Nr 132, poz. 3671) oraz uchwała nr 40/V/03 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 24 stycznia 2003r. w sprawie zasad usytuowania na terenie gminy Śrem miejsc sprzedaży i podawania napojów alkoholowych (Dz. Urz. Woj. Wielk. z 2003r. Nr 20, poz. 351).

§ 6

Uchwała podlega ogłoszeniu w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

§ 7

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

UCHWAŁA NR 207/XXVII/04
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 29 czerwca 2004 r.

zmieniająca uchwałę w sprawie uchwalenia budżetu gminy Śrem na 2004 rok

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 4 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 z późn. zm.) i art. 124 ustawy z dnia 26 listopada 1998 r. o finansach publicznych (Dz. U. z 2003 r. Nr 15, poz. 148 z późn. zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

(Treść szczegółowych zmian rzeczowych i kwotowych w uchwale budżetowej Gminy Śrem w 2004 roku.)

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 3

Uchwała podlega opublikowaniu.

§ 4

Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

PRZEWODNICZĄCY RADY
Maciej Janiszewski

„Hipolit” ma swój sztandar



40 lat minęło. Okres ten dla Zespołu Szkół Technicznych im. Hipolita Cegielskiego był czasem przemian i budowy swojej historii. Szkoła, z małej Zasadniczej Szkoły Zawodowej kształcącej dla potrzeb Odlewni Żeliwa, rozwinęła swoje możliwości stając się Zespołem Szkół, w skład którego wchodzi dzisiaj technika, licea profilowane i technikum dla dorosłych.

Od 1963 roku nasza szkoła przeszła szereg przekształceń administracyjnych, od szkoły przyzakładowej, poprzez szkołę, którą kierowało Kuratorium Oświaty, a na szkole samorządowej kończąc. W roku 2001 szkoła zmieniła swoją nazwę na Zespół Szkół Technicznych im. Hipolita Cegielskiego w Śreмі.

Przez te wszystkie lata, mimo trudności finansowych, szkoła rozwijała się, przystosowywała warunki i możliwości do potrzeb i wymagań uczniów i rynku pracy. Uczniowie naszej szkoły zdobywali prestiżowe nagrody i wyróżnienia w konkursach zawodowych i przedmiotowych.

Tym, co decyduje o wyborze przez młodzież gimnazjalną naszej szkoły jako ośrodka dalszej nauki jest jej klimat i wysoki poziom nauk ścisłych. Dowodem tego jest duża liczba absolwentów, którzy po skończeniu szkoły podejmują dalszą naukę na studiach politechnicznych.

W środowisku lokalnym szkoła jest znana ze swoich osiągnięć sportowych. Do Zespołu Szkół uczęszczali młodzi sportowcy, którzy startowali w klubach pierwszoligowych oraz byli reprezentantami kadry narodowej.

Szkoła przez cały okres swojego funkcjonowania była otwarta na nowości edukacyjne. Już w latach 70. organizowano "zieloną szkołę", program "wychowania przez sport", a obecnie szkoła bierze udział w akcji "Szkoła z klasą". Wszystkie te przedsięwzięcia były i są możliwe dzięki wspaniałej i ciągle "niestarzejącej się" kadry pedagogicznej. To dzięki niej i młodzieży naszej szkoły możliwe było przeprowadzenie wielu imprez oraz akcji charytatywnych. Obecnie w szkole realizowany jest nowy program pod hasłem "Z Hipolitem do Unii Europejskiej". Celem programu jest wyposażenie absolwenta w takie umiejętności, które ułatwią mu dobry start na rynku pracy w kraju i poza jego

*"Przeminęły już wieki, a myśmy ostali,
Burzom dziejów nie daliśmy się zgnieść.
Sztandar walki, co w ręce ojcowie nam dali,
To nasz honor i wiara i cześć."*

(Treść pieśni Polaków spod znaku Rodła)

granicami. Mamy nadzieję, że tak jak dotychczasowe akcje, przyniesie on sukces nie tylko szkole, ale przede wszystkim naszym uczniom i środowisku, w którym szkoła funkcjonuje.

W dowód uznania i osiągnięć szkoły Rada Rodziców we wrześniu 2003 roku na swym posiedzeniu podjęła uchwałę o przekazaniu szkole sztandaru.

Wręczenie sztandaru odbyło się 18 czerwca 2004 roku w dniu zakończenia obchodów 40-lecia powstania szkoły. Program uroczystości zawierał dwie części. Pierwszą była msza św. w kościele parafialnym pw. Najświętszego Serca Jezusa na Jezioranach połączona z poświęceniem sztandaru, którą odprawił proboszcz ks. Ryszard Adamczak. Po mszy św. uczestnicy sformowali orszak i przemaszzerowali do Klubu Odlewnika, gdzie odbywała się uroczysta akademia. W uroczystości wzięli udział zaproszeni goście, wśród których należy wymienić przedstawiciela Wielkopolskiego Kuratorium Oświaty w Poznaniu - starszego wizytatora - Barbarę Zatorską, Starostę Śremskiego - Teodora Stępe, Wicestarostę - Tadeusza Waczyńskiego, Burmistrza Śreму - Krzysztofa Łożyńskiego oraz Przewodniczącą Rady Powiatu - Gabriellę Wasilewską. W gronie zaproszonych gości był również pierwszy dyrektor szkoły - Stanisław Szeszuła, któremu Kapituła Szkoły przyznała "Medal Szkoły - Hipolita Cegielskiego".

Wręczenia sztandaru dokonał Przewodniczący Rady Rodziców - Jarosław Marcinkowski, który przekazał sztandar w ręce dyrektora, a ten z kolei młodzieży szkolnej. Następnie uczniowie szkoły złożyli ślubowanie na sztandar szkoły.

Uroczystość uświetnił program artystyczny przygotowany przez młodzież szkolną pod opieką nauczycieli języka polskiego.

Po zakończeniu uroczystości zaproszeni goście dokonali wpisu do Honorowej Księgi Sztandaru Szkoły.

Cała uroczystość była wspaniałą lekcją historii, nie tylko dla młodzieży, ale również dla wszystkich uczestników, którzy mogli zapoznać się z historią szkoły wpisaną na stałe w historię Śreму i regionu.

Zbigniew BARANOWSKI

ŚREMIANIN HELIODOR ŚWIĘCICKI (1854-1923)

lekarz i społecznik, historyk medycyny, współtwórca i pierwszy rektor
Uniwersytetu Poznańskiego

"Choć nauka nie ma Ojczyzny, uczony ją posiada" [Ludwik Pasteur (1822-1895), z przemówienia na międzynarodowym kongresie lekarskim w Kopenhadze, w dniu 10 sierpnia 1884 r.]

Urodził się 3 lipca 1854 r. w Poznaniu. Był drugim w kolejności, a jednym z sześciorga dzieci lekarza śremskiego, Tadeusza Święcickiego, pochodzącego z Oczkowic (między Kobylinem a Rawiczem) i Doroty z Korytowskich, z Goszczanowa (w ówczesnym powiecie tureckim).

Lata dziecięce i młodzieńcze spędził w Śremie, gdzie ukończył szkołę powszechną oraz gimnazjum klasyczne. Podczas nauki w gimnazjum śremskim należał do miejscowego koła filomackiego, nazwanego kółkiem Marianów, które później weszło w skład Towarzystwa Tomasza Zana. Zebrania kółka Marianów odbywały się w mieszkaniach prywatnych, między innymi także i u Święcickich. Heliodor Święcicki pod koniec lat sześćdziesiątych odgrywał wybitną rolę w tym gronie, inspirował między innymi uroczyste obchody rocznic narodowych oraz dążył do utrzymywania kontaktów z młodzieżą polską z pozostałych zaborów. Np. uczestniczył w serdecznym przyjmowaniu delegacji "Sokołów" Iwowskich w 1868 roku (gniazdo w Śremie powstanie w 1893 roku).

Z liczego rodzeństwa, w latach 1861-1865 zmarły mu dwie siostry, Zofia i Maria oraz jedyny brat, Ignacy, wszyscy troje w dość wczesnym dzieciństwie. W roku 1872, gdy był jeszcze uczniem gimnazjum, stracił oboje rodziców, a w początkach roku 1873 - starszą siostrę, Ofelię. Z całej licznej rodziny Święcickich pozostali przy życiu tylko Heliodor i jego najmłodsza siostra Wanda (urodzona w 1859 r.). Rodzeństwem zaopiekowała się wówczas rodzina Leopoldostwa Karpińskich, sąsiadów i przyjaciół Święcickich.

Mimo tylu tragicznych wydarzeń Heliodor Święcicki we wrześniu 1873 roku zdał z wyróżnieniem egzamin maturalny w gimnazjum śremskim. W opinii grona nauczającego zawsze zresztą uchodził za ucznia sumiennego i zdolnego.

Po ukończeniu gimnazjum śremskiego w 1873 r., idąc śladami swojego zmarłego ojca, udał się na studia medyczne do Wrocławia. Podczas studiów lekarskich (w latach 1873-1877) korzystał prawdopodobnie z pomocy materialnej swojego szwagra, profesora chirurgii Hermanna E. Fischera. Miał znakomitych nauczycieli; do grona wykładowców na Uniwersytecie Wrocławskim należeli uczeni tacy jak: A. B. Biermer, J. Cohnheim, R. Förster, H. Haeser, R. P. Heidenhain, O. Spiegelberg. Podczas studiów udzielał się bardzo czynnie w pracach Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, grupującego Polaków studiujących we Wrocławiu; przez kilka lat był członkiem zarządu Sekcji Lekarskiej tego Towarzystwa. Z okazji otwarcia Teatru Polskiego w Poznaniu w 1875 r. zorganizował specjalny wyjazd studentów polskich z Wrocławia na tę uroczystość, a także obchód tego wydarzenia w samym Wrocławiu. Doksztalał się w różnych dziedzinach wiedzy humanistycznej. Jako student medycyny wyróżniał się w nauce i dość wcześnie zabrał się do samodzielnej pracy naukowej. Pierwszą zachętą do tej pracy były ogłoszone przez Wydział Lekarski w Uniwersytecie Wrocławskim tak zwane "tematy do prac konkursowych". Gdy minął termin ich złożenia i gdy przystąpił do ich oceny, po otwarciu kopert z nazwiskami autorów okazało się, że autorem dwóch nagrodzonych prac: jednej eksperymentalnej z dziedziny fizjologii a drugiej z historii medycyny jest młody, 21-letni student Polak - Heliodor Święcicki. Praca eksperymentalna, zatytułowana *Untersuchungen über die Bildung und Ausscheidung des Pepsins bei den Batrachiern* (O tworzeniu się pepsyny u żab), została w 1876 roku opublikowana w poważnym czasopiśmie naukowym "Pflüger's Archiv für Physiologie". Drugą pracę, z dziedziny historii medycyny, traktującą o pielęgnowaniu i chorobach dzieci w starożytności i wczesnym średniowieczu, opracował Święcicki na podstawie pism Hipokratesa, Galena, Soranusa, Oribasiusa i Pawła z Eginy. Pierwsza część tej pracy, zatytułowana *Zusa-*

menstellung und Erläuterung der bei den griechischen Aertzen, namentlich bei Hippocrates, Galen, Soranus und Oribasius sich findenden Angaben über die Pflege der Kinder und ihre Krankheiten (1876) została przyjęta jako dysertacja doktorska - promotorem był prof. H.E. Fischer. Na podstawie literatury niemieckiej i francuskiej oraz licznych oryginalnych dzieł greckich i łacińskich drukowanych w XVI i XVII wieku, w sposób wnikliwy i krytyczny nakreślił historię pielęgnowania dzieci w starożytnej Grecji, dając interesujący przyczynek do historii pediatrii. Mimo tak znakomitego początku, do badań o tej tematyce nigdy już nie powrócił.

Studia medyczne ukończył Święicki w ciągu zaledwie trzech lat i czterech miesięcy, a nadto jeszcze podczas studiów musiał odbyć półroczną służbę wojskową (w ostatnim kwartale 1875 i w pierwszym kwartale 1876 roku). Tytuł doktora otrzymał w dniu 1 sierpnia 1877 roku, wraz z dyplomem lekarza medycyny i chirurgii. Następnie po odbyciu obowiązkowej praktyki szpitalnej w dniu 20 czerwca 1878 r. w Dreźnie złożył z wynikiem celującym obowiązujący wówczas tzw. krajowy egzamin lekarski. Miał już wyraźnie wytyczone cele życiowe, nakreślone bardzo idealistycznie z pozycji młodego lekarza:

"rozuwój życia społecznego uczy nas, że człowiek jest na to przeznaczony, aby stał się pożytecznym dla drugich [...] poza pracą jest jeszcze widok nędzy bliźnich i pragnienie stania się pożytecznym wskazuje nam obowiązek troski o nich, ich codzienne sprawy, okazywania im życzliwości, bez których pomimo obowiązkowości w pracy zawodowej, człowiek zbyt ciasno i jednostronnie pojmuje swoje zadania". Tym celem pozostał wierny do końca swojego życia.

Po otrzymaniu dyplomów lekarskiego i doktorskiego zamieszkał w Poznaniu przy ulicy Św. Marcin 12 w styczniu 1878 roku i rozpoczął praktykę, najpierw jako lekarz chorób dziecięcych. W tymże roku kilkakrotnie wyjeżdżał z Poznania w celu odbycia dalszych studiów i praktyk naukowych w zakładach fizjologii u prof. H. Kronecke-

ra w Berlinie, a następnie u prof. C. Ludwiga w Lipsku. Od listopada 1878 r. rozpoczął kilkumiesięczną praktykę w Berlinie jako asystent w klinice ginekologiczno-położniczej tamtejszego uniwersytetu. Przy okazji uczestniczył w uniwersyteckich seminariach filozoficznych.

3 kwietnia 1879 roku wrócił do Poznania i podjął pracę w Zakładzie Położniczym św. Elżbiety, gdzie zorganizował pierwszą w Wielkopolsce przychodnię ginekologiczną.

W roku 1881 został asystentem w Szpitalu Dzieciątym św. Józefa w Poznaniu (obecnie ul. Bolesława Krysiwicza). Był to czwarty szpital dziecięcy na ziemiach polskich (po Krakowie, Lwowie i Warszawie), założony w 1877 roku przez doktora Ignacego Zielewicza, pierwszego biografa Karola Marcinkowskiego.

Odczuwając nadal potrzebę uzupełniania swojej wiedzy teoretycznej Heliodor Święicki w latach 1882-1884 wyjeżdżał kilkakrotnie w celu zdobycia specjalizacji w położnictwie i ginekologii. Pracował pod kierunkiem sławnych profesorów w klinikach niemieckich w Dreźnie (F. Winckel), Erlangen

(P. Zweifel), Jenie (B. S. Schultze), Berlinie (C. Schroeder i A. Gusserow) oraz Lipsku (K. S. Credé), nabierając wiedzy praktycznej oraz pracując naukowo. W klinice uniwersyteckiej w Erlangen u prof. P. Zweifela doszedł nawet do stanowiska pierwszego asystenta. Po tych wояжach naukowych w styczniu 1885 roku powrócił na stałe do Poznania, stając się pierwszym w Wielkopolsce lekarzem zajmującym się wyłącznie położnictwem i ginekologią. Przez pewien czas mieszkał na ul. Młyńskiej 16, a w roku 1886 zamieszkał przy ul. Berlińskiej 13 (obecnie ul. 27 Grudnia), gdzie w kamienicy czynszowej wynajął mieszkanie. Tu otworzył niewielką klinikę położniczą, liczącą tylko 4 łóżka.

W dniu 3 czerwca 1886 r. ożenił się z hr. Heleną z Dąbskich (1847-1901), wdową po Gustawie Zaborowskim z Chocimia pod Kaliszem, która wniosła mu w posagu trójkę swoich dzieci oraz dosyć znaczny majątek. Od 17 października 1887 r. Heliodor Święicki zamieszkał wraz z żoną na dru-



Zbiory Muzeum Śremskiego

Przy grobie rodzinnym Świątcickich w Śremie



gim piętrze Pałacu Działyńskich przy Starym Rynku 78. Po gruntownym odrestaurowaniu całego piętra, oprócz okazałe urządzonego mieszkania umieścił w Pałacu Działyńskich swoją klinikę położniczo-ginekologiczną.

Po założeniu rodziny nastąpił najszczęśliwszy okres w życiu Heliodora Świątcickiego. Powodzenie materialne umożliwiło mu otwarcie salonu w Pałacu Działyńskich, gdzie co dwa tygodnie zbierała się elita poznańskiej inteligencji na czwartkowe wieczory dyskusyjne. W ten sposób narodziły się słynne "czwartki literackie" w Pałacu, a ich tradycja przetrwała do dni dzisiejszych.

Jedna z żyjących wówczas jeszcze córek Tytusa Działyńskiego nie była zadowolona z umieszczenia lecnicy w okazałym, lecz mocno podupadłym pałacu. Powiedziała wtedy, że należałoby zdjąć ze szczytu pałacu jego godło, tj. pelikana karmiącego swoje pisklęta, a umieścić tam nowy symbol: bociana.

Po pewnym czasie Świątcicki wynajął II piętro w kamienicy sąsiadującej z Pałacem Działyńskich, aby rozbudować swoją klinikę, która cieszyła się znacznym powodzeniem. W lecnicy bowiem stosował najnowsze osiągnięcia medycyny oraz wykonywał najpoważniejsze operacje ginekologiczne i położnicze, wprowadzając własnego pomysłu aparaty i narzędzia lekarskie. Między innymi w 1888 roku zastosował przenośny aparat do wziewnego znieczulania bólów porodowych przy pomocy mieszaniny sprężonego podtlenku azotu i tlenu. Urządzenie to zakupiła firma londyńska "Ash and Sons" i cieszyło się ono dużą popularnością wśród

lekarzy położników w całej Europie. W 1893 roku skonstruował i popularyzował tzw. fizjologiczne kleszcze porodowe, o długich rękojeściach, umożliwiające przeprowadzenie główki płodu zgodnie z osią miednicy rodzącej. Był Świątcicki pierwszym polskim ginekologiem i jednym z pierwszych w Europie, który od 1889 roku stosował w terapii chorób kobiecych i w położnictwie skuteczny antyseptyk - połączenie jodu ze związkami organicznymi (z tymolem; fabryczna nazwa preparatu "Arystol", zawierający 45,8% jodu) - zapoczątkowując u nas racjonalną chemioterapię ginekologiczną. Jako jeden z pierwszych w medycynie światowej (od 1882 roku) prowadził badania histopatologiczne płodów obumarłych. Poza licznymi pracami ekspe-

rymentalnymi, ogłoszonymi podczas pobytu za granicą, na uwagę zasługiwały jego późniejsze publikacje dotyczące tzw. kazuistyki. Np. należał do pierwszych położników na świecie uznających leczenie rzucawki porodowej cięciem cesarskim za metodę z wyboru.

O wysokich kompetencjach zawodowych i naukowych Świątcickiego oraz o szacunku, jakim darzył go cały świat lekarski na ziemiach polskich, świadczy trzykrotne wysunięcie jego kandydatury na katedrę ginekologii: w 1894 i 1907 roku w Uniwersytecie Jagiellońskim oraz w 1898 roku we Lwowie. Za zasługi naukowe otrzymał w roku 1900 doktorat honoris causa z medycyny na Uniwersytecie Jagiellońskim. Lokalne władze poznańskie w 1899 roku wysunęły Świątcickiego na stanowisko radcy sanitarnego, a władze pruskie (Minister-



Oroczystość w Collegium im. H. Świątcickiego w Śremie

stwo Wyznań Religijnych, Nauk i Spraw Medycznych) w Berlinie w 1902 roku zamierzały nadać poznańskiemu lekarzowi tytuł profesora - czego zaniechano po uzyskaniu opinii tajnej policji, określającej go jako "zdeklarowanego nacjonalistę polskiego". Tytuł uzyskał w końcu w 1913 roku.

Oprócz praktyki lekarskiej i pracy naukowej zajmował się wówczas Świąćicki działalnością charytatywną oraz pracą społeczną. Należał do Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, powołanego w Poznaniu dla wspierania (a także między innymi dla leczenia) ubogich. Przez długie lata, podobnie jak niegdyś Karol Marcinkowski, bez żadnego rozgłosu czuwał nad zdrowiem biednych rodzin poznańskich. W publicystyce natomiast często krytykował warunki panujące w placówkach leczniczych Poznania i innych miast w Wielkopolsce. Napisał szereg prac naukowych z różnych dziedzin nauk lekarskich i pokrewnych: z biologii, chemii, embriologii, fizjologii, histologii, anatomii patologicznej, ginekologii oraz z biografistyki i historii medycyny. W 1890 roku, tj. w 13 lat po uzyskaniu dyplomu lekarza, wydał w Poznaniu zbiór swoich 25 prac naukowych zatytułowany: *Beiträge zur Physiologie und Gynaecologie*. W sumie ogłosił ponad 200 publikacji w języku polskim, angielskim, francuskim i niemieckim. Najsłynniejszą z nich stała się rozprawa pt.: O estetyce w medycynie, wydana po raz pierwszy w Poznaniu w roku 1911, ciesząca się wielką popularnością wśród lekarzy, którą wznawiano kilkakrotnie, m.in. w tłumaczeniu na język francuski (Paryż 1912) i na esperanto (Warszawa 1913). Był to wykład Świąćickiego, wygłoszony na jednym z ogólnych posiedzeń XI Zjazdu Lekarzy i Przyrodników Polskich w Krakowie w 1911 r. (Wcześniej, w roku 1889, usiłował zorganizować w Poznaniu VIII Zjazd Lekarzy i Przyrodników Polskich - ale władze pruskie udaremniły ten zamiar).

Śmierć ukochanej żony, Heleny, która zmarła na zapalenie płuc we wrześniu 1901 roku, okryła Świąćickiego głęboką żałobą i do końca swojego życia nie mógł przeboleć tej straty. Mimo to nie załamał się, poświęcając wiele czasu pracy naukowej i społecznej oraz działalności dobroczynnej. Ograniczył jedynie kontakty towarzyskie i na kilkanaście lat zawiesił spotkania czwartkowe w salonie.

Najczynniej udzielał się wówczas w Towarzystwie Przyjaciół Nauk w Poznaniu, którego członkiem zwyczajnym został w roku 1879. Należy tutaj przypomnieć, że w latach 1858-1872 członkiem tego towarzystwa był także jego ojciec, dr Tadeusz Świąćicki, który w grudniu 1865 roku należał do współtwórców Wydziału Lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wydział ten rozwinął szeroką działalność naukową, a wśród jego członków znalazło się wielu wybitnych lekarzy mających poważne osiągnięcia medyczne, wygłaszających liczne referaty na posiedzeniach i publikujących prace naukowe (m.in. Bolesław Wicherkiewicz, słynny okulista, chirurg Tomasz

Drobnik, Ludwik Gąsiorowski, historyk medycyny). W gronie tym Heliodor Świąćicki mógł pracować naukowo, a informacje o pracach wydziału przysyłał do dwu najważniejszych pism medycznych: krakowskiego "Przeglądu Lekarskiego" i warszawskiej "Gazety Lekarskiej". W latach 1880-1883 Świąćicki został sekretarzem Wydziału Lekarskiego TPN, a w latach 1896 - 1904 pełnił funkcję przewodniczącego tego wydziału. Od grudnia roku 1888 Wydział Lekarski TPN wydawał własny miesięcznik "Nowiny Lekarskie", wśród którego założycieli obok Wicherkiewicza znaleźli się m. in. Franciszek Chłapowski i Ignacy Zielewicz. Heliodor Świąćicki objął redakcję tego periodyku w latach 1896-1897 oraz 1899-1906. W tym okresie nawiązał liczne kontakty z lekarzami pracującymi naukowo i profesorami medycyny we wszystkich trzech zaborach, którzy nadsyłali swoje publikacje do "Nowin Lekarskich". Obowiązki przewodniczącego Wydziału Lekarskiego w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, podjęte w roku 1896, przygotowały Świąćickiego do pełnienia następnej funkcji - wiceprezesa TPN w latach 1904-1915, za prezesury ks. bpa Edwarda Likowskiego. W grudniu 1913 r. Świąćicki jako wiceprezes TPN zorganizował jubileusz 25-lecia "Nowin Lekarskich" z udziałem około stu lekarzy, w tym licznych gości oraz prelegentów z Krakowa, Lwowa, Warszawy. Odczyty odbywały się w sali posiedzeń Wydziału Lekarskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, istniejącej od roku 1882 na parterze nowo wybudowanego lewego skrzydła gmachu. (Obecnie w tym miejscu mieści się księgarnia naukowa). Sala ta, w której mieścił się księgozbiór Wydziału Lekarskiego, została urządzona sumptem Świąćickiego i na jego koszt. Świąćicki ufundował półki do książek oraz trzy witraże: największy - według sztuchu Oleszczyńskiego - przedstawiał Józefa Strusia przy łóżu chorego sułtana Sulejmana II, a dwa boczne - portrety Jędrzeja Śniadeckiego i Karola Marcinkowskiego. Dla uczestników jubileuszu przygotował Świąćicki widoki Poznania i zestaw rotograviurowych podobizn słynnych lekarzy, których wizerunki reprodukowane były wcześniej jako dodatek do "Nowin Lekarskich", w cyklu *Album wybitnych lekarzy polskich*.

Po śmierci ks. arcybiskupa Likowskiego (w lutym 1915 r.) walne zgromadzenie członków w dniu 21 czerwca 1915 r. wybrało Świąćickiego na prezesa TPN. Nowy prezes reaktywował działalność wszystkich wydziałów TPN, która od momentu wybuchu I wojny światowej zamierała. Jedynie Wydział Lekarski, liczący 150 członków, nie przerywał swoich prac. Wydział ten pozostawał do końca I wojny światowej w zaborze pruskim jedyną wyłącznie polską organizacją lekarzy i to nie tylko poznańskich, ale również pochodzących z Pomorza, wykształconych przeważnie na uniwersytetach niemieckich, m.in. we Wrocławiu, Berlinie, Gryfii.

dr Anna MARCINIAK

Foto: archiwum

WSPOMNIENIA WYSIEDŁONEJ ŚREMIANKI cz. II

Ten błogi spokój nie miał trwać jednak wiecznie. Najpierw, od czasu otrzymania własnej izby zmieniły się układy z gospodarzami. Gospodarze wyszli z założenia, że brać pieniędzy od "bezdomych" nie wypada, a za darmo coś dawać, niby dlaczego? Z tego powodu, gdy potrzebowaliśmy mleko, to brałam wiaderko po marmoladzie i szłam do mleczarni do Sterdyni. Pracowali tam koledzy z Kicina i bywało, że dostawałam mleko pełne i od czasu do czasu kawałek twarogu. Wszystko zależało od tego, czy kierownik jest obecny czy nie. Normalnie otrzymywałam mleko chude. Bywało, że spotkałam tam kierownika, przywitał się, porozmawiał i zniknął. Te wycieczki po mleko to był dla mnie rodzaj rozrywki, więc nie narzekałam.

W 1941 roku nie było już spokojnie. W połowie roku ja i brat, jako jedyni młodzi z całej wsi, otrzymaliśmy z Arbeitsamtu wezwanie na wyjazd na roboty przymusowe do Niemiec. Po naradzie, ojciec znający język niemiecki postanowił za nas pojechać. Spokój zakłócał coraz częściej wyraz "łapanka". Trzecia Rzesza potrzebowała rąk do pracy, dobrowolnie na wezwanie nie było wielu chętnych, trzeba było ludzi łapać najlepiej w nocy, gdy śpią i niczego się nie spodziewają. Na szczęście w żandarmerii w Kosowie służył Niemiec, który w miarę możliwości informował kogo trzeba z Polaków o szykujących się zagrożeniach ze strony władz niemieckich. Toteż wiedzieliśmy, kiedy należy uciekać w nocy do lasu. Jakoś nam się tak udawało, że łapanki omijały naszą wieś, ale strach wypędzał całą młodzież z domów niejeden raz. To już nie była rozrywka.

Tymczasem na początku czerwca 1941 r. w całej wsi zakwaterowało się wojsko niemieckie, by po chyba dwóch tygodniach rozpocząć marsz na wschód. Nie utrudniali życia nikomu i żadnych zatargów z nimi nie było. Napaść na Związek Radziecki nie wiele, a właściwie nic u nas nie zmieniła.

Nadszedł rok 1942. Z rodziną w Śremie utrzymywaliśmy korespondencje. Przysyłali nam pocztówki z widokiem Śremu i miałyśmy jakie takie pojęcie o wyglądzie miasta.

Na wiosnę znów brat i ja oraz młody Mąkowski (imienia jego nie pamiętam) otrzymaliśmy wezwanie na wyjazd do Niemiec. Tym razem pojechał brat i Mąkowski, a mnie matka wywiozła do swojej kuzynki wysiedłonej z Kona-

rzyc, gm. Książ Wlkp., mieszkającej z rodziną koło Ostrowa Maz. Po miesiącu wróciłam do Grądów i już mnie więcej z tego powodu nie niepokojono. Łapanki bywały nadal, czasem również w dzień. Któregoś dnia wybrałyśmy się do Kosowa. Przed miastem na przydrożnej łące siedziała na stołku stara babcia, przesuwiała koraliki różańca, a koło niej pasło się kilka gąsek. Zatrzymała nas i zapytała matkę: "Pani z córką do miasta?" - "Tak", odpowiedziała matka. Na to babcia: "Niech pani córkę zostawi w drugim domu na lewo, sama niech wszystko szybko załatwi i zabiera córkę do domu - łapanka". Rzeczywiście obcy ludzie udzielili mi schronienia. W krótkim czasie wracałyśmy wystraszone do domu. Od tego czasu zawsze zwracało się uwagę, czy ktoś przed miastem nie ostrzega przed nieszczęściem czy innymi kłopotami.

Nie pamiętam, czy to było w sierpniu czy wrześniu 1942 r., obiegała całą Generalną Gubernię szeroko przez Niemców głoszona informacja o odkryciu w Katyniu zbiorowych grobów polskich oficerów pomordowanych przez Rosjan. Pamiętam, że informacja ta wywołała mieszane uczucia: czy to robota Rosjan czy Niemców. Do Niemców pasowało, a o Rosjanach nie wiedzieliśmy nic.

Na wsi życie toczyło się normalnie, ludzie przy czasie się odwiedzali, czasem się kłócili, a bywało, że i widły poszły w ruch. Na szczęście krew się nie lała, a urazy w sercach nosili tylko do Wigilii. Boże Narodzenie to takie święto, które można dobrze przeżyć tylko z sercem czystym i bez urazy. To też w Wigilię wszyscy się odwiedzali i przepaszali. Kobiety natomiast oprócz przeprosin obdarowywały się jajkami, miodem lub innymi dobrociami, a poza tym obdarowywano również tych biedniejszych, do których i myśmy się zaliczały. Nie były to dary duże (czasem np. 3 jajka, czy miseczka pszennej mąki), ale mile. Po świętach można się znów napyskować, ale urazy przechowuje się najdłużej do następnej Gwiazdki.

Rok 1943 to rok dość bogaty w wydarzenia.

Mój brat Zenon pracował w majątku ziemskim koło Cottbus i ponieważ otrzymywali tam chleb chyba z sieczki i plew, czyli niejadalny, wysyłałyśmy mu od samego początku dwa lub trzy razy w miesiącu paczkę z chlebem i papierosami. W związku z tym miałyśmy zawsze pewien zapas papierosów. Wiedzieli o tym mieszkańcy wsi i by-

wało, że w okresie pilnych prac polowych i nie tylko, mężczyźni przychodzili z prośbą o odstąpienie paru papierosów. Tak zaczął się nieduży handel wymienny - papierosy za jajka. Zaczął się też inny handelek. Miałśmy pieniądze, bo ja swetry robiłam tylko za gotówkę. Szykowała się w naszej lub w sąsiedniej wsi zabawa, chłopak potrzebował trochę grosza, a tu ojciec i matka odmawiają. Podbierał więc ojcu ze stodoły zboże lub matce z komory słoninę (tak zwaną kożę). Przychodził do nas i powiedział: "Pani, koza beczy". "A co masz" - pytała się matka. Różnie bywało, a to 25 kg żyta, którego nie brałyśmy, a to 1 kg słoniny. Raz było to 10 kg jęczmienia. Tę "kożę" kupiliśmy. W młynie w Sterdyni pracowali koledzy i w wyznaczonym dniu dostarczyłam 10 kg jęczmienia, a odebrałam 25 kg kaszy. Matka była zadowolona. Ja z początku też, ale jak długo można jeść kaszę na rzadko lub na gęsto, w mleku lub w zupie? Trochę pomógł nam stary dziadek chodzący po prośbie. Przychodził do nas dwa razy w miesiącu i wówczas dawałam mu litrowy garnek tej kaszy. Po pewnym czasie matka stwierdziła, że ładnie nam tej kaszy ubywa. Sprawa się wydała, gdy przyszedł dziadek i matka była w domu. Zaczął wychwalać jakie to ze mnie dobre i życziwe dziecko, a matka pokiwała tylko głową. Awantury nie było, bo kasza się nie zmarnowała, tylko wspomogła biedniejszych od nas. Po tym dziadek już się nie pokazał, a ja przez kilkanaście lat po wojnie kaszy do ust nie wzięłam.

Nie pamiętam, w którym to było miesiącu, przyszedł do nas żandarm z tłumaczem i zaproponował matce, aby wpisała się na listę Volksdeutsch. Jeżeli na to się zgodzi, to zaraz zorganizują nam powrót do Śremu i ojca oraz brata ściągną z przymusowych robót. Moja matka pełna oburzenia odpowiedziała: "W 1939 roku jako Polaków wyrzuciliście nas do Polski, a teraz chcecie zrobić z nas Niemców? Nie ma mowy". Tłumacz oburzył się na takie postawienie sprawy, ale żandarm bardzo grzecznie matkę przeprosił, nie nalegał i uszanował jej wolę. Żadnych represji z tego powodu nie było i więcej nas do tego nie namawiali.

Krematorium w Treblince działało. Ludzie mieszkający bliżej Treblinki opowiadali, jaki okropny jest swąd palących się ciał. Ten cuchnący dym wdiera się wszystkimi szparami do mieszkań i trudno jest oddychać. Raz jednak

i w naszym kierunku zawiał Treblinką. Poszłam z matką do lasu nazbierać jagód, ale nic z tego nie wyszło, bo wiatr dował ten cuchnący dym do nas i trzeba było wracać do domu.

Nie pamiętam daty, ale było to w czerwcu lub w lipcu, pewnej nocy słychać było strzały karabinowe w Sterdyni.

Rano wybrałam się po mleko do mleczarni. Już na Golanach były duże plamy krwi. Wiaderko zostawiłam w mleczarni i postanowiłam zobaczyć, co tam się działo. Koledzy wraz z kierownikiem odradzali mi, ale nie posłuchałam ich. Nawet do rynku nie doszłam. To co zobaczyłam, przeraziło mnie. Na ulicy jeszcze leżały trupy pomordowanych Żydów. Podeszła do mnie jakaś kobieta i powiedziała: "Niech panienka dalej nie idzie, bo Niemcy jeszcze są i tych biedaków jeszcze nie sprzątnęli. Strzelali

do nich jak do kaczek". Wskazując mi martwe dziecko żydowskie powiedziała: "To małe wyrzucili oknem, ale się nie zabiło więc Niemiec złapał je za nóżkę i roztrzaskał o mur". To był dla mnie szok. Bez słowa wzięłam mleko i całą drogę powrotną płakałam. Gdy weszłam do domu powiedziałam tylko: "Mamo, co ja widziałam". Widoku tych pomordowanych Żydów do końca życia nie zapomnę. Płakałam nad tymi biedakami, nad potwornością jaką człowiek zgotował człowiekowi. Z szoku otrząsnęłam się po kilku dniach, ale te wspomnienia nigdy się nie zatarły.

Okazało się, że nie tylko w Sterdyni, ale i w Kosowie, i w innych miejscowościach, w których jeszcze mieszkali Żydzi, w tę samą noc Niemcy dokonali ich zagłady.

Na początku sierpnia doszła do nas wiadomość, że w obozie w Treblince wybuchł bunt. Komendant obozu uciekł





i schował się w zbożu. Po drodze rozbierał się z niemieckiego munduru, żeby go partyzanci nie rozpoznali. Znał go jednak Niemcy siedzącego w życie w samej białej. Do obozu podobno już nie wrócił. W tych zamieszkach zginął żandarm, który informował Polaków o zamierzonych łapankach.

Pewnej nocy obudziły nas strzały karabinowe. Gdzieś na początku wsi koło sołtysa byli Niemcy. Rano się sprawa wyjaśniła. Musiała być jakaś zdrada, bo Niemcy zrobili tam zasadzkę i wpadło w nią dwóch partyzantów. Zakazano chowania ich na cmentarzu. Mieli być zakopani przy drodze, gdzie zostali zabici. Niemcy do wioski w ogóle nie wchodzili i po wydaniu dyspozycji sołtysowi równie cicho się wynieśli, jak przyszli.

Rano poszłam zobaczyć, czy śmierć nie dotknęła kogoś znajomego. Mężczyźni już kopali dół, a ja zobaczyłam dwóch znanych mi chłopów, braci, również wysiedlonych z poznańskiego (z jakiej miejscowości dziś nie pamiętam) ubranych w zielone mundury. Roztrzęsiona i zapłakana wróciłam do domu i już od progu zawołałam: "Mamo, tych dwóch partyzantów to Stefan i Tadeusz Hofmanowie, w ubiegłym tygodniu tańczyłam z nimi na zabawie". Nie muszę dodawać, że moje samopoczucie było okropne.

Ale koledzy nie zapomnieli o nich. Po dwóch dniach wioskę obiegła szeptana wiadomość, aby w dniu tym jak się ściemni nie zapalać światła i nie wychodzić z domów. Partyzanci będą zabierać swych kolegów, aby pochować ich na cmentarzu. Jak się tylko ściemniło, usiadłszy przy oknie martwiąc się, aby Niemcy nie przeszkodzili lub by nie zemścili się na wiosce. Księżyc trochę rozjaśniał ciemności i około północy przeciągnął przez wieś niecodzienny kondukt. Na przedzie oddział wojska w mundurach z karabinami, za nimi dwa wozy, na każdym trumna przy-

kryta białą-czerwoną flagą, a za nimi czwórkami szli i szli uzbrojeni partyzanci. Trwało to chyba ponad pół godziny w kompletnej ciszy, bo nawet konie ciągnące wozy miały kopyta okryte szmatami. Lzy same płynęły nam z oczu, a usta szepotały "Wieczny odpoczynek racz im dać Panie". Zastanawiała ilość partyzantów, skąd się ich tylu wzięło. Podobno w lasach koło Ceranowa było ich tylu, że Niemcy bali się tam wejść. Może i oni przyszli. Mimo, że było ich tak wielu, to szli tak cicho, że nawet żaden pies we wsi nie zaszczał.

Bracia Stefan i Tadeusz Hofmanowie pochowani zostali na cmentarzu parafialnym w Sterdyni.

Niemcy, albo nie wiedzieli o tym pogrzebie, albo zaniechali konfrontacji z partyzantami i żadne represje z tego powodu nikogo nie dotknęły.

Jeszcze jeden raz w tym roku przeżyliśmy niesamowity wstrząs.

Nasz gospodarz Wrzosek zabił świnie bez zezwolenia. Zwykle odbywało się to po zachodzie słońca, bo Niemcy nawet w kilku nie mieli ochoty spotykać się po ciemku z partyzantami, więc był to w miarę bezpieczny czas na dokonywanie takich zabronionych czynności.

Świnia już była zabita i wypatroszona, gdy dotarła wieść: Niemcy we wsi! Spanikowani właściciele świnia włożyli ją do koryta i przynieśli do nas celem schowania jej pod łóżkiem. Matka wzbraniała się, ale bez skutku. Gospodarz uważał, że matka mówi po niemiecku i jakoś się wybroni, a dla nich to kulka w łeb albo Treblinka. Jak na złość świnia nie chciała się zmieścić w kryjówce i obie zadnie nogi uporczywie wystawały spod łóżka. Jeszcze nie skończyła się dyskusja, gdy usłyszałam pukanie do drzwi i stanęli w nich mężczyźni z karabinami, ale w cywilnych ubraniach i usłyszałam: "Czy może nam pani sprzedać trochę papierosów?" Ktoś się pomylił, to byli partyzanci, a nie Niemcy i artykułem pierwszej potrzeby były dla nich papierosy, a zabita świnia nie interesowała ich w ogóle.

Ile to nas nerwów kosztowało! Matka na drugi dzień obudziła się żółciutka jak cytryna - żółtaczka.

Barbara ŚWIĄTEK
z d. Knoska
Foto archiwum

Przeżyłem wyzwolenie Śremu spod okupacji hitlerowskiej cz. III

Wyzwolenie miasta, w którym urodziłem się, nastąpiło 23 stycznia 1945 roku. Czołówka wojsk sowieckich uderzyła na Śrem od strony Książa.

Trzy czołgi przedary się w okolice spalonej cegielni na Wójtostwie i rozbiły niemiecki oddział liczący ok. 70 żołnierzy. Niemcy ochraniali tu i bronili magazynu z częściami do produkcji samolotów. Ukrywali je w komorach pieca do wypalania cegły. Opór wroga był słaby, bowiem większość sił kilkusetosobowego oddziału Wehrmachtu i żołnierzy węgierskich skupiono na przedpolach Śremu od strony Zaniemyśla i Poznania, skąd spodziewano się decydującego uderzenia. Dwa inne czołgi ostrzelały Zakład dla Ubogich (ta część, która dzisiaj jest sanatorium reumatologicznym) i zniszczyły niemiecki punkt obserwacyjny znajdujący się na dachu tego budynku. Dwa pociski uderzyły w szczyt budynku przy ul. Klasztornej (dzisiaj Wiosny Ludów). Odłamkowo-burzący pocisk czołgowy doszczętnie zniszczył nasze mieszkanie, gdzie ulokowali nas Niemcy w 1941 r. Cudem uśliśmy z niego z życiem. Ojciec rankiem tego pamiętnego dnia poszedł do pozostawionych na łasce losu starców - Niemców (Polaków już w październiku 1939 r. okupanci wywozić "budami" zagazowali spaliniami). Brat Stanisław udał się do sąsiedzkiej studni po wodę. Ranną w nogę siostrę Urszulę wywlec zdołałem z matką na korytarz. Miałem wtedy 11 lat. Wystarczająco dużo, aby zapamiętać szczegóły z tamtych pamiętnych chwil wyzwalań nas przez Sowietów.

Radzieckie czołgi, na pancerzach których jechała zdobywająca nasze tereny piechota, udawały się ul. Mickiewicza w stronę rynku. Pierwszy wóz trafiony został pancerfaustem w gąsienicę, gdy znajdował się na wysokości wieży ciśnień. Maszyna zaczęła kręcić się w kółko. Z tej i z następnych zeskakiwała radziecka fizyka. Z ręcznej i maszynowej broni rozległy się gwałtowne serie wystrzałów skierowanych w stronę pagórka, na którym, przed wieżą, usytuowany był oddział węgierskich żołnierzy współdziałający z Niemcami. Gdy ci znaleźli się w zagrożeniu, zrozumieli dopiero wtedy wartość życia. Rozległy się błagalne krzyki: "Nie strzelajcie, my Madziary". W tym okrzyku zawarł się bezsens wiary w ideę narodowego socjalizmu hitlerowskich Niemiec. Działo się to ok. 200 m od miejsca

mojego zamieszkania. Opowiedzieli nam o tym zdarzeniu znajomi mieszkający w domu przy ul. Mickiewicza usytuowanym naprzeciw wieży "wodociągowej".

Czołgi, które cało wyszły ze wspomnianej opresji pognały w stronę "miasta". Przejechały szczęśliwie przez most na Warcie. Ten uratowany został przez Polaków, którzy wcześniej odcięli przewody połączone z detonatorami. Na dzisiejszym Placu 20 Października (data upamiętnia publiczną egzekucję obywateli miasta dokonaną przez Niemców) nastąpiło entuzjastyczne i spontaniczne powitanie żołnierzy-wyzwolicieli przez mieszkańców Śremu, którzy powiadomili Rosjan, że w miejscowych koszarach pozostają Niemcy. Czołgi zawróciły. Kierunek jazdy i natarcia wskazywał (jak opowiadano) przywiązany do lufy armatniej Niemiec. Pod wieczór 23 stycznia 1945 umilkły strzały z armat czołgowych, nie słychać było terkotu broni maszynowej. Koszary, ostatni punkt oporu okupantów, zostały zdobyte. Śrem był wolny. Z niemieckiej niewoli wyzwolili nas Rosjanie.

Moja rodzina została ocalona. A jeszcze w 1944 r. Niemiec, dyr. Zakładu dla Ubogich, gdzie ojciec pracował, podsunął mu po raz trzeci do podpisania volkslistę. Senior Walenty odmówił współpracy z okupantem w ramach obywatelstwa III kategorii Rzeszy Niemieckiej. Musiał liczyć się z możliwością (o tym jednoznacznie został powiadomiony) wywozu całej rodziny do obozu koncentracyjnego. Zagłada nie tylko Żydów i Cyganów realizowana była skrupulatnie przez nadludzi z Zachodu.

Walki o Śrem okupione zostały śmiercią 7 żołnierzy radzieckich. Straty niemieckie były większe - sięgały ok. 80 zabitych i tyleż wziętych do niewoli.

W wyzwolonym mieście do najdotkliwszych bolączek należały trudności zaopatrzeniowe. Dla tworzących się władz miejskich pilnym zadaniem stała się konieczność uruchomienia handlu i zakładów przemysłowych, zabezpieczenie mienia, troska o opał dla ludności, ochrona jej zdrowia, zorganizowanie kwater dla żołnierzy radzieckich udających się na front. Bardzo srogą zimą roku 1945 przeżyliśmy za czasów 5-letniej okupacji. Głodno było i chłodno. W piecu kuchennym i kaflowym palił się chrust, a nawet słome. Brukiew, marchew i dynia nadal stanowiły

podstawowe produkty do potraw sporządzanych przez zaradną naszą mamę, Władysławę. Mleko kozie przynosiłem nadal, na zmianę z bratem, od znajomych, którzy mieszkali w pobliżu Wójtostwa. Nie można zapomnieć smaku koziego sera, syropu z buraków cukrowych, chleba z ziemniaków obsypanego otrębami. Ta zdrowotna dieta wystarczała dorosłym, by podjąć i uczestniczyć w heroicznej odbudowie zniszczonego kraju, a nam młodym z pokolenia Kolumbów, do chęci do nauki.

O uruchomieniu szkoły, o rozpoczęciu nauki w marcu 1945 r. dowiedzieliśmy się od miejskiego pedla, który przystawał na skrzyżowaniach ulic i ręcznym dzwonkiem zachęcał się do gromadzenia wokół niego i wysłuchiwania odczytywanych zarządzeń władz miejskich. Jak wszyscy chłopcy w wieku szkolnym poszedłem do "męskiej" szkoły podstawowej zlokalizowanej nad Wartą (obecnie SP nr 3). W izbie lekcyjnej na piętrze odbył się egzamin. W komisji zasiadli nauczyciele, którzy w marcu 1945 r. rozpoczęli nauczanie w budynku, który szczęśliwie po latach okupacji zachował umeblowanie szkolne. W czasie wojny uczyły się w nim dzieci niemieckie. W gorszej sytuacji rozpoczęła naukę dziewczęta, w obecnej szkole nr 2, gdzie Niemcy w czasie okupacji urządzili wojskowy lazaret. Sprzęt owego szpitala został zagospodarowany, ale szkolne ławki, po odszukaniu "przywędrowały" do szkoły z posesji p. Nowakowskiego, który mieszkał przy rynku. Te i inne informacje uzyskałem z rozmów z p. Władysławem Adamczewskim, ur. w roku 1916, który wraz ze Stanisławem Jurgą (geografia), Gomulkówną, Magdaleną Jakubczak (j. polski), Zygmuntem Stochayem (matematyka), Stefanem Sroczyńskim (fizyka, chemia), Marianem Wieleńskim (śpiew, muzyka, chór), Bronisławą Milewską i Józefą Winiecką (nauczanie początkowe) jako niewykwalifikowany nauczyciel, rozpoczął pracę w tej "męskiej" jedynce i nauczał rysunku oraz prac ręcznych. Był dobrym organizatorem. To on odkrył we mnie możliwości plastyczne. W tamtych latach byłem kilka razy wyróżniany na plastycznych wystawach, co odnotowane zostało w gimnazjalnym pisemku "Pierwiosnek". Swoją edukację rozpocząłem w kl. IV. Widać na tyle oceniono moje umiejętności w zakresie czytania, pisania i liczenia. Sprawdzone je w czasie egzaminu przed zapisem do szkoły. Na tablicy czymś podobnym do kredy polecono mi zapisać "ze słuchu" kilka zdań, podliczyć zapisane "słupki", a z podsuniętej książki przeczytać fragment tekstu. Jakie to było przeżycie!? Mogłem wreszcie głośno mówić, pisać i czytać po polsku! Nigdy nie zapominałem, że owe umiejętności zawdzięczam śp. p. Grabowskiej. Przed wojną miała sklepik z artykułami szkolnymi przy Mickiewicza, naprzeciw ośrodka zdrowia. Zaprzyjaźniona z rodzicami, w czasie okupacji przychodziła do nas często przynosząc zeszyty, które miały dobry pa-

pierze znakami wodnymi Kręglewskiego. I mnie, i rodzeństwu wręczając te, z narażeniem życia przechowywane skarby, "zadawała" pisanie ołówkiem lub "piórkiem" maczanym w inkaucie - litery, potem wyrazy, potem zdania. I takie to było w Poznańskim tajne nauczanie i kultywowanie polskości.

Klasę IV ukończyłem w czerwcu 1945. We wrześniu tegoż roku rozpoczął się nowy rok szkolny. Do grona nauczycielskiego doszły m.in. Władysław Hampel (matematyka), Leontyna Janiszewska (j. polski) i Irena Kostrzewska (śpiew, nauczanie początkowe). Odtąd w każdym roku szkolnym realizowaliśmy program dwóch klas. W ten sposób w 1947 r. otrzymaliśmy świadectwo ukończenia Publicznej Szkoły Męskiej Nr 1 w Śremie. Rodzice postanowili dalej mnie kształcić i posłali mnie do miejscowego gimnazjum i liceum. W szkole podstawowej i średniej nie mieliśmy podręczników. Rola i odpowiedzialność uczących była zatem wielka, nauczyciele byli dla nas prawdziwymi autorytetami w przekazywaniu wiadomości i umiejętności, choć robili to w różny, czasem dziwny sposób. Nierzadko ich metody podpirały się... kijem przynoszonym przez uczniów. Pani Magda Jakubczak skutecznie uczyła j. polskiego. Zeszyty domowe i klasowe po poprawieniu "rozdawała" na poręczy schodów widocznych z klasy przez otwarte drzwi. Tyle się dostało, ile przy podpisie nauczycielki wyszczególnionych było błędów. Nieraz rozstępowały się szwy na portkach uszytych przez kochane mamy. Po każdej "wypłacie" błędów było mniej. W "budzie" przy ul. Poznańskiej chłosty nie stosowano. Skutkowało zawieszenie w udziale w zajęciach pozalekcyjnych: w zajęciach SKS-u, chóru, koła tanecznego, teatru szkolnego, itp.

W obu typach kształcenia w pierwszych latach po wyzwoleniu, nauczyciele, jak wspomina p. Władysław, borykali się z problemami naszego dorastania. W klasach gościło powszechne zróżnicowanie wiekiem uczniów. W klasach skupionych było 4-5 roczników. Do Śremu powrócili chłopcy, którzy przebywając w niemieckim rezerwacie siły roboczej, w GG, uczęszczali do szkół i przywieźli ze sobą świadectwa, które skierowały ich do stosownych klas. Zróżnicowanie wieku nie przeszkadzało nam, młodym we współżyciu i współtworzeniu w trudnych warunkach, po wojennego bytu. Umieliśmy korzystać ze swobody.

Od tego czasu pojawiły się już trzy pokolenia. Obecna młodzież jest dobra i ma dużo dobrej woli. Też jest zafascynowana ideą czynienia czegoś pozytywnego w swoim środowisku... ale często nie ma wzorców do naśladowania. Myśmy je mieli.

Po latach ostatnich przemian i młodzi, a często i starsi dzisiaj są niecierpliwi. Chcieliby mieć wszystko i to natychmiast. Zastanawiam się czy Polacy, którzy dali się wciągnąć w pułapkę goniwcy za osiągnięciem rychłego dobrobytu,

zdolni byliby dzisiaj do ofiar i poświęceń, na jakie stać było rodaków z poprzedniego wieku.

Każde pokolenie ma i przywiązuje się do określonych przyrzędów, które bawia. Słyszeliście być może o "jojo" i "hula-hup". Teraz młodzi przesiadują godzinami przed telewizorami. Fascynują ich gry na szklanym ekranie, internet. Moje pokolenie, szczególnie w czasie okupacji, zadowolili się musiało bieganiem za kółkiem, a raczej za obręczą "od beczki" popychaną odpowiednio ugiętym drutem, no i szmacianką, tj. wypchanym gałganami kawałkiem pończochy. Kopanie takiej "piłki" nie niszczyło obuwia, zresztą od wiosny do jesieni robiło się to na bosaka. Po przepędzeniu ze Śremu Niemców rychło odkryliśmy, że z pieca cegielni obok Wójtostwa, wybrać można różnej średnicy łożyska kulkowe. Wkładało je się do nafty, a potem obtłukiwało spalenizną i łożyska uruchamiało na wystruganych kółkach. Rozpoczęła się masowa "produkcja" czegoś, co przypominało hulajnogę. Na tych hałas robiących wehikułach jeździli wszyscy chyba chłopcy robiąc użytek z wojennego szmelcu. Kilka tygodni po wyzwoleniu miasta życie "śłodził" sobie karmelem odrąbywanym z ulicy

graniczącej z cmentarzem komunalnym a stacją kolejową. Ze spalonego magazynu rozlał się roztopiony i brązowy cukier.

Trudno wymazać z pamięci wiele śladów scen, w których się uczestniczyło. Chodzę po ulicach, po chodnikach, z których byliśmy do rynsztoków spychani przez niemieckich rówieśników.

Chodzę też często po Placu 20 Października. Zmieniło się oblicze tego rynku. Dobosz sprzed ratusza powędrował do Parku im. Powstańców Wlkp. 1918/19. W miejscu, gdzie niemieccy żołnierze rozstrzelali wybranych spośród setki zakładników, naszych rodaków, ułożono płytę. Śladu nie ma po pomniku, który ongiś postawiono w miejscu pochówku poległych w walkach o Śrem, Rosjan.

Kolejny raz na tym placu pamięci miejscowe władze urządziły "powitanie" Nowe Roku. Jest głośno, bo muzyka i leje się szampan. Potem jest i Wielkie sprzątanie.

"Pomieszczenie, z popłataniem!"

"Durch Europa!"

Henryk JANKOWIAK

Foto archiwum



Autor wspomnień (pierwszy z lewej) po 50 latach od ukończenia Publicznej Szkoły Podstawowej Męskiej Nr 1 w Śremie
Od lewej: H. Jankowiak (autor), J. Jankowiak, Ryszard Bartz, Wł. Grabowski

STANISŁAW RATAJCZAK



Stanisław Ratajczak urodził się 25 kwietnia 1902 r. w Maciejewie (dawne województwo leszczyńskie). Ukończył Wyższe Seminarium Nauczycielskie w Poznaniu. Pierwszą nominację na stanowisko nauczycielskie otrzymał 14 lipca 1922 r. i objął posadę nauczyciela w szkole w Mchach (gmina Książ Wlkp., powiat Śrem). Była to szkoła dwuklasowa, pięciooddziałowa. Uczyl

wszystkich przedmiotów w klasach I-III oraz biologii i wychowania fizycznego w klasach IV-V.

Już rok po rozpoczęciu pracy wstąpił w szeregi Związku Nauczycielstwa Polskiego. Warto w tym miejscu dodać, że w Książu nie było jeszcze wtedy ogniska związkowego, więc chętni należeli do ogniska w Śremie. W swojej pracy "Dzieje życiorysem pisane" tak wspominał tamte czasy:

Zebrania ogniska w Śremie były dla nas, szczególnie młodych nauczycieli, prawdziwym świętem. Zwykle na zebrania jeździliśmy pociągiem, a od czasu, gdy dorobiliśmy się rowerów, jechaliśmy rowerami, urządzając nieraz małe wyścigi. Często też odwiedzaliśmy kolegów z Dolska i Śremu.

Działacze związkowi spotykali się raz w miesiącu na konferencjach, gdzie m.in. wysłuchiwali referatów podnoszących ich kwalifikacje. Poza tym zapoznawali się też z wytycznymi do dalszej pracy i byli informowani o bieżących sprawach związkowych i oświatowych.

Ognisko ZNP w Książu powstało w 1924 r., a pierwszym prezesem został Józef Guzik. W szkole w Mchach S. Ratajczak przepracował trzy lata, a potem został przeniesiony na trzy lata do szkoły w Żabnie, by w 1928 r. trafić do szkoły w Olszy (wtedy nazwę tej miejscowości wymawiano w liczbie mnogiej - Olsze). Dziś już szkoła w Olszy nie istnieje, pozostał po niej tylko budynek. Dzieci natomiast uczęszczają do szkół w Chrzastowie i Pyszącej. Pan Stanisław pracował w Olszy 10 lat. Jako ciekawostkę potraktować należy informację, że dziesięcioro dzieci z tej

szkoły było narodowości niemieckiej, w szkole natomiast nauczano po polsku. Żaden z Niemców nie wyrażał w związku z tym sprzeciwu, ale po otwarciu szkoły niemieckiej w Książu, prawie wszystkie dzieci tam trafiły. Piszę "prawie", ponieważ Jeden tylko Niemiec z tego nie skorzystał i jego dziecko nadal uczęszczało do szkoły w Olszach. Dodać jednak trzeba, że z chwilą wkroczenia armii hitlerowskiej do Polski, ów Niemiec ubrał się zaraz w mundur, a mały wstąpił do Hitlerjugend. (Wszystkie cytowane fragmenty pochodzą ze wspomnianej już pracy S. Ratajczaka - "Dzieje życiorysem pisane". Zresztą za tę właśnie pracę otrzymał nagrodę w konkursie organizowanym przez Towarzystwo Miłośników Śremu, Zarząd Oddziału ZNP w Śremie, Redakcję ówczesnego "Głosu Śremskiego" i Muzeum Śremskie w roku 1989).

Od września 1938 r. pan Stanisław pracował w szkole w Binkowie, określanej mianem typowo polskiej szkoły. W czasie II wojny mieszkał - po wyrzuceniu przez Niemców - u brata pod Leszkiem, potem wrócił do Binkowa. Czas tuż po wojnie był szczególnie trudny i to dla wszystkich. Przez długie lata S. Ratajczak pracował praktycznie przez całą dobę. Odbywały się bowiem zarówno zajęcia dla młodzieży szkół dziennych, jak i kursy czy szkoły wieczorowe dla dorosłych. Ówczesne władze postawiły sobie za cel likwidację analfabetyzmu i szerzenie oświaty dla dorosłych. M.in. w Binkowie otwarto szkołę przysposobienia rolniczego i wychowania fizycznego. Pan Stanisław opracował też projekt szkół w Chrzastowie i Pyszącej. Tam trafiły dzieci z okolicznych jednoklasówek. Został przeniesiony - wraz z rodziną - do Pyszącej w roku 1948. Co ciekawe, zawieszona na czas wojny działalność Związku Nauczycielstwa Polskiego szybko została wznowiona:

Duże zasługi w zorganizowaniu szkolnictwa wniósł odnowiony zaraz po wojnie Związek Nauczycielstwa Polskiego, nad czym od początków Polski Ludowej pracował kolega Nowacki i wiele innych kolegów i koleżanek. Ja także brałem czynny udział w pracach ogniska, przez wiele lat pełniłem funkcję skarbnika lub sekretarza.

Kolejne lata miały S. Ratajczakowi na pedagogicznej pracy w szkole w Pyszącej i działalności związkowej. Ta druga polegała nie tylko na aktywnym uczestnictwie w

zebraniach czy konferencjach związkowych. Związkowcy organizowali wycieczki (m.in. do Wrocławia, Torunia, Szczecina, Śmiełowa czy Szlakiem Piastowskim). Ruch związkowy wśród nauczycieli był zresztą wtedy zdecydowanie bardziej prężny, a przynależność do ZNP prawie stu-procentowa (np. w roku 1962 na 455 zatrudnionych w Śremie nauczycieli aż 420 należało do związku, a w roku 1970 odsetek związkowców wśród nauczycieli wynosił 98,2%...) Ponadto pan Stanisław aktywnie uczestniczył w życiu społecznym - był organizatorem amatorskiego teatru:

Zwykle na Święta Bożego Narodzenia przygotowywałem przedstawienie teatralne. Trzeba pamiętać o tym, że w tym okresie radio było jeszcze rzadkością, a telewizja nie istniała.

Rok 1965 był szczególnie ważny nie tylko w życiu pana Stanisława, ale również dla wszystkich mieszkańców Py-szającej i okolicznych wsi. Hasło "1000 szkół na 1000-lecie" znalazło odzwierciedlenie właśnie w tej wiosce:

Z chwilą oddania do użytku nowej szkoły, warunki pracy radykalnie się zmieniły. Większe klasy, pracownię, salę gimnastyczną oraz łazienki i ubikacje stały do dyspozycji. Mnie jeszcze przypadło w udziale uczyć kilka lat w nowej szkole.

W 1972 r. Stanisław Ratajczak przeszedł na zasłużoną emeryturę. Korzenie nauczycielskie pozostały jednak w rodzinie:

Bodajbys cudze dzieci uczył - nam jakoś to przekleństwo nie przeszkadzało. Kiedyś liczyliśmy, że w rodzinie mojej, żony, zięcia i synowej jest 45 nauczycieli uczących w różnych typach szkół, od Śląska po Bałtyk.

Za swoją pracę pedagogiczną i społeczną S. Ratajczak został wyróżniony i nagrodzony m.in.:

Złotym Krzyżem Zasługi,
Krzyżem Polonia Restituta,

Dyplomem Uznania za pracę w Związku Nauczycielstwa Polskiego,

Dyplomem za zasługi dla rozwoju czytelnictwa oraz popularyzację książki w środowisku,

Dyplomem za ofiarną pracę społeczną dla dobra... pszczelarstwa.

Stanisław Ratajczak zmarł 19 września 1989 r. i został pochowany na Cmentarzu Komunalnym w Śremie.

Marcin MAJSNER

(artykuł powstał na podstawie pracy Stanisława Ratajczaka "Dzieje życiorysem pisane" oraz rozmowy z córką i zięciem p. Stanisława)

Foto archiwum:

1. St. Ratajczak.

2. Zdjęcie z dziećmi w Binkowie z 1946 roku



CENTRUM HIPIKI - NOWE WYZWANIA

Przedstawiając bliżej postać Antoniego Chłapowskiego, nie sposób nie przybliżyć najbliższej rodziny, wśród której wyrastał i skąd czerpał wzorce zachowań. Rodzina Chłapowskich niepodzielnie od pokoleń związana była ze wsią. Toteż Antoni Chłapowski obrał drogę życiową podobną do antenatów.

Jan Chłapowski (dziadek Antoniego), urodził się 28 września 1863 roku w Szoldrach. Studiował rolnictwo w Hohemheim w Wirtembergii i odslugiwał wojsko w pułku ułanów saskich. Ożenił się w 1892 roku, poślubił w Piaszkach w powiecie strzeleckim Zofię Jaczyńską (ur. 1871), córkę Czesława i Marii z Bieleckich. Zamieszkali w Gozdawie koło Mogilna, majątku który Zofia otrzymała w dziale rodzinnym. Jan też był właścicielem Lginia w pow. wschowskim, sprzedał go w 1894 roku. Głównym polem działalności publicznej Jana Chłapowskiego były kółka rolnicze. W pracy tej miał duże osiągnięcia i zasługi. Już w 1894 roku był prezesem kółek w Wilatowie i w Gębicach. W 1896 roku zorganizował w Gozdaninie wystawę inwentarza, płodów rolnych. W latach 1902-1909 był prezesem kółka w Kamieńcu koło Goźdzychowa. W 1902 roku przeniósł się do Goźdzychowa, który w 1907 roku sprzedał Zygmuntowi Chłapowskiemu. W 1909 roku Chłapowscy zamieszkali w nowo kupionym Chotowie w pow. ostrowskim, który w 1914 roku sprzedali Niemojowski i przenieśli się do Poznania. Podczas wojny uczestniczył w walnych zebraniach Centralnego Towarzystwa Gospodarczego. Pod koniec wojny działał w organizacjach podziemnych w Poznaniu. 27 grudnia 1918 roku był komendantem Bazaru, w którym zamieszkiwali Ignacy Paderewski i misja aliancka. Podjęto decyzję o powstaniu. 13 stycznia 1919 roku Jan Chłapowski został komisarycznym prezesem Wielkopolskiej Izby Rolniczej. W marcu 1919 roku został mianowany przez Komitet Naczelnej Rady Ludowej porucznikiem i rotmi-

strzem, a krótko potem majorem. Komisarycznym prezesem Wielkopolskiej Izby Rolniczej był do 1 maja 1919 roku, po czym przeszedł do Komisariatu Naczelnej Rady ludowej i został w nim szefem Urzędu Wojewódzkiego. Zmarł



nagle w Poznaniu 2 lipca 1919 roku. Jego pogrzeb był manifestacją z udziałem władz świeckich i duchownych, trumnę wieziono na lawecie armaty ciągnięcej przez osiem koni. Pochowany jest w Brodnicy. Po śmierci męża Zofia Chłapowska - babka Antoniego znalazła się w trudnej sy-

tuacji finansowej, mieszkała w Poznaniu przy ul. Matejki. Zmarła w Podkowie Leśnej w 1952 roku. Jan i Zofia Chłapowscy mieli pięcioro dzieci: Dezyderego, Tadeusza, Kazimierza, Stanisławę i Zofię.

Najmłodszy z czterech synów Janostwa Chłapowskich - Stanisław (ojciec Antoniego) ur. 8 lutego 1903 r. w Goździchowie brał udział w Powstaniu Wielkopolskim i w wojnie polsko-bolszewickiej 1918-1920. Był żołnierzem 7. Pułku Strzelców Konnych i został odznaczony Krzyżem Walecznych. W okresie międzywojennym pracował jako administrator majątków w Wielkopolsce, na Wołyniu i na Podlasiu. Działal też społecznie w Związku Rezerwistów, w Syndykacie Rolnym. Był odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi w 1938 roku. W 1935 roku ożenił się w Podbereziu na Polesiu z Wandą Czerwińską. Krótko przed wojną wzię-

dzieci, co było przede wszystkim zasługą Wandy Chłapowskiej. Stanisław Chłapowski, ojciec Antoniego, zmarł w 1971 roku w Poznaniu, a matka w 1993 roku w Sztokholmie. Oboje są pochowani w Brodnicy. Ich dzieci to: Kazimierz, Mieczysław, Antoni, Maria, Janina, Stanisław, Franciszek i Elżbieta.

Praprawnuk generała Dezyderego Chłapowskiego, właściciel i twórca Centrum Hipiki w Jaszowie - można go nazwać kontynuatorem tytanicznej pracy swego wielkiego prapradziadka - Antoni Chłapowski urodził się w 1944 roku we Lwowie. Lata powojenne były trudne i ciężkie. Jako młody chłopak podjął naukę w Technikum Samochodowym w Poznaniu. Zawsze dominowały w jego życiu dwie pasje: konie i samochody. Trochę czasu upłynęło zanim marzenia się spełniły. W międzyczasie korzystając z okazji

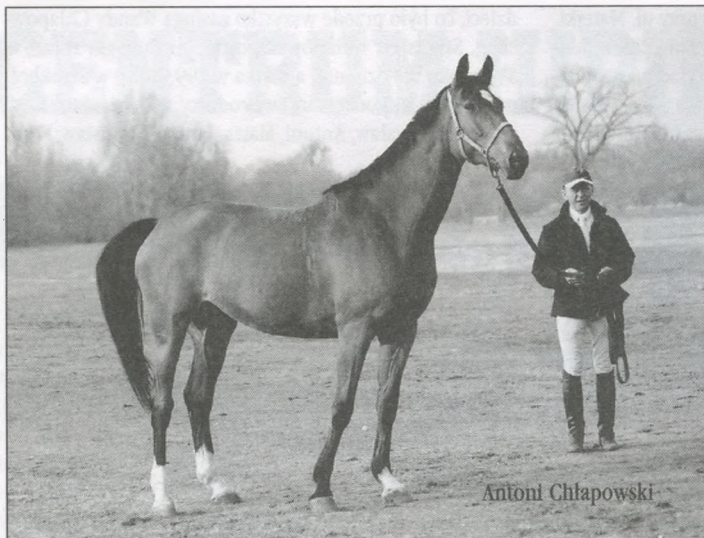
wyjechał Antoni Chłapowski na praktyki zawodowe do Szwecji. Pobyt w tym kraju jednak przedłużył się w czasie. Nasz bohater spędził w tym państwie "kawał" swojego życia. Przeszedł różne koleje losu. Zaczynał jako pracownik stacji benzynowej. Potem w warsztatach Volvo, Opla, Saaba. Pracę połączył z nauką języka. Po pewnym czasie skorzystał z możliwości otwarcia własnego warsztatu. Startował także jako obywatel Polski w wyścigach formuły FORDA. Pobyt w Szwecji stawał się coraz bardziej ciekawy. Nadszedł okres sukcesów, mających formę międzynarodową. Został mistrzem Danii, wicemistrzem Beneluxu, zajął trzecie miejsce w Grand Prix w Lizbonie, a w 1971 roku po wszystkich eliminacjach do mistrzostw świata formuły FORDA doszedł do finału jako drugi z kolei. Ale przyszedł czas na drugą domenę, którą traktował równie serio jak pierwszą. Założył własną szkołę jeździecką w Svenamo. W tej dziedzinie także podnosił swoje kwalifikacje. Ukończył Wyższą Szkołę Instruktorów w Królewskiej Akademii Instruktorów w Stromsholm. I tym samym zdobył uprawnienia instruktora w zakresie hipiki. Zajmował się tą dziedziną w Europie i poza jej granicami. Po przełomie i zmianie ustroju uznał za swój obowiązek powrócić do wolnej ojczyzny. W Szwecji Antoni Chłapowski zdobył tyle doświadczenia w zakresie jeździectwa, że postanowił za-

jąć się tą dziedziną w Polsce. Zakupił w miejscowości Jaszowie ziemię, podwórce, zabudowania gospodarskie i zdestawowany pałac. Podjął w życiu, w ojczyźnie nowe wyzwanie i nowy cel. Centrum Hipiki w Jaszowie to gospodarstwo agroturystyczne, którego głównymi atrakcjami są:



Rodzeństwo Chłapowskich, 6 czerwca 2003, Helsingborg, Szwecja

li w dzierzawę mały majątek Góra koło Modlina. Pierwsze lata wojenne spędzili we Lwowie, potem mieszkali pod Warszawą, po wojnie w Poznaniu. Stanisław pracował wiele lat w spółdzielczości mleczarskiej. W bardzo trudnych warunkach czasów powojennych wychowywali ośmioro



Antoni Chłapowski

jazda konna dla dorosłych, dla dzieci i młodzieży na kucach-pony. Jazdę konną można uprawiać na terenie gospodarstwa, które liczy około 200 ha. Jest to duży obszar nadwarciańskich łąk. W ramach Centrum Hipiki przyjmowani są goście pragnący spróbować jazdy konnej w spokoju i ciszy. Na terenie obiektu trwają jeszcze prace przed mającymi odbyć się niebawem Mistrzostwami Europy Pony. Dużym sukcesem gospodarza jest przywrócenie dawnej świetności pałacu, który został poddany gruntownemu remontowi. A. Chłapowski stwierdził, że powrót do kraju po odzyskaniu wolności był jego obowiązkiem. Spoczywają tu jego przodkowie. Jego prapradziad Dezydery Chłapowski wniósł ogromny wkład w rozwój nowoczesnego rolnictwa w Wielkopolsce w XIX wieku. Pasja do koni istniała w tej rodzinie od pokoleń. Cechy po przodkach - życie na wsi, pasję do koni przejął również Antoni Chłapowski. Mamy już co prawda XXI wiek, ale nie znaczy to wcale, że w czasach ery lotów kosmicznych i komputerów nie można kochać ziemi, koni, życia na wsi i żyć według własnych upodobań zgodnych z poczuciem własnej tożsamości. W Polsce dzięki niestrudzonej pracy A. Chłapowskiego rozpropagowano na szeroką skalę kucę-zwane pony. To on jako pierwszy zajął się w Polsce ich propagowaniem. Dla porównania można podać, że w Danii zarejestrowanych jest około 15 tysięcy pony, w Polsce - około 500. Ten rok będzie czasem przełomu, a zarazem wielkiej "próby" dla Jaszkwowa. Dlatego, że po raz pierwszy w historii sportu jeździeckiego Mistrzostwa Europy Pony odbędą się w Polsce, właśnie w Jaszkwowie. Międzynarodowa Federacja Jeździecka przyznała organizację mistrzostw w tymże roku największemu

ośrodkowi edukacji jeździeckiej dzieci i młodzieży w Europie - Centrum Hipiki Antoniego Chłapowskiego w Jaszkwowie. Honorowy patronat nad Mistrzostwami Europy objął Prezydent RP. Mistrzostwa odbędą się w trzech głównych konkurencjach jeździeckich - ujeżdżaniu, skokach przez przeszkody, wszechstronnym konkursie konia wierzchowego (wkkw). Startować będzie młodzież w wieku od 12 do 16 lat. W mistrzostwach tej klasy jeźdźcy dosiadają najwyższych i szlachetnych pony. Do Centrum Hipiki ma przybyć ponad 230 najlepszych jeźdźców z 18 państw Europy oraz 20 tysięcy zapowiadanych osób oficjalnych, towarzyszących i pozostałych widzów. Organizacja Mistrzostw Europy Pony w roku przystąpienia Polski do Unii Europejskiej

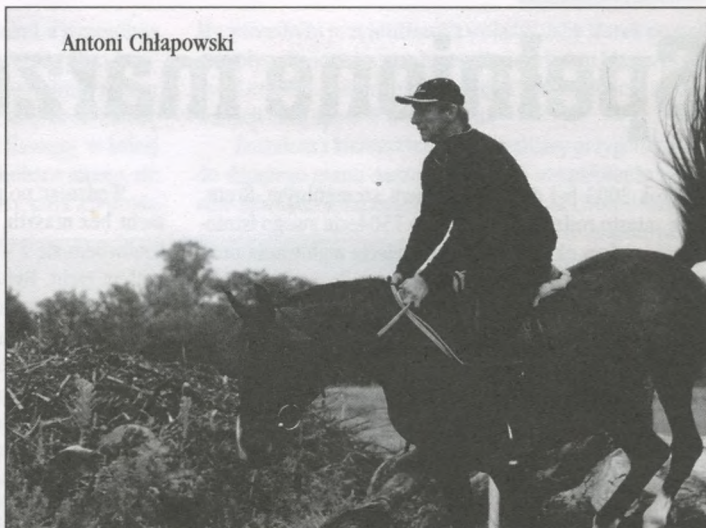
jest doskonałą promocją naszego kraju. Podczas mistrzostw odbędzie się Promocja Regionów Polski - ich wartości. Zawody potrwać od 28 lipca do 1 sierpnia. Pierwszego dnia, czyli 28 lipca w środę przewidziana jest w programie ceremonia otwarcia mistrzostw. Oprócz tego w dziedzinie skoków przewidziany jest konkurs wstępny i I konkurs eliminacyjny do indywidualnych Mistrzostw Europy. W następnym dniu - w czwartek - odbędą się: w ujeżdżaniu-konkurs wstępny, skoki - konkurs eliminacyjny, do indywidualnych ME i wkkw - deklaracje startów. Kolejny dzień - piątek 30 lipca będzie głównie poświęcony skokom, ale nie tylko. W konkurencji skoków odbędą się indywidualne ME - Finał I nawrót, konkurs pocieszenia dla jeźdźców niezakwalifikowanych do finałów indywidualnych ME, ponadto indywidualne ME - Finał II nawrót i indywidualne ME - ceremonia wręczenia medali i nagród. Sobota - 31 lipca - zawody we wszystkich konkurencjach. W ujeżdżaniu - konkurs pocieszenia grupy I i II, skoki-również konkurs pocieszenia dla jeźdźców, którzy nie zakwalifikowali się do konkursu zespołowego. W konkurencji - wkkw - próba terenowa cross. Ostatnim dniem kończącym zawody jest niedziela - 1 sierpnia. Wówczas odbędą się: w skokach - zespołowe ME - I nawrót i zespołowe ME II nawrót. W ujeżdżaniu - indywidualne ME - finał i ceremonia wręczenia medali i nagród. Ponadto w - wkkw - indywidualne ME i ceremonie wręczenia medali. Ostatnim akordem zakończenia Mistrzostw Europy Pony w Jaszkwowie będą dekoracje ekip. Oficjalne ceremonie wręczenia medali i nagród.

TRADYCJE.

Tradycje ułańskie przetrwały w rodzinie Chłapowskich w okresie międzywojennym. Kazimierz Chłapowski był oficerem 15. pułku ułanów wielkopolskich. W 1923 roku posiadał rangę porucznika, a w 1933 roku został mianowany adiutantem pułku. Ukończył także w Rembertowie w szkole kawalerii kurs oficerów sztabowych, co umożliwiło mu awans do funkcji zastępcy dowódcy pułku w randze majora. Podczas kampanii wrześniowej, gdy 12 września poległ dowódca 15. pułku pułkownik Mikke, major Chłapowski został dowódcą pułku, był to ostatni dowódca tego sławnego pułku. Na tym nie kończą się postacie w rodzinie Chłapowskich związane z końmi. W linii sońnickiej rodziny Chłapowskich byli także "koniarze". Zygmunt Chłapowski, syn Tadeusza i Zofii, urodzony w Borysławiu - studiował rolnictwo na wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. W 1936 roku przejął majątek Cieśle. Zajmował się szczególnie hodowlą koni, został wybrany Przewodniczącym Poznańskiego Koła Hodowców Konia Szlachetnego. W 1936 roku we Lwowie poślubił Zofię Chłapowską z linii czerwonowiejskiej, córkę Maurycego i Anny z Brunickich.

Kolejny przedstawiciel rodu, który przejawiał zainteresowania końmi to Michał Chłapowski, syn Michała i Izabeli Kalkstein, urodzony w 1875 roku w Gączu. Uczęszczał do gimnazjum w Gnieźnie, z którego został usunięty za przynależność do tajnego kółka samokształceniowego Polaków. Maturę zdał jako ekstern. Studiował rolnictwo na uniwersytecie w Berlinie i Halle oraz prawo w Lipsku. Przez całe życie mieszkał z żoną w skromnym dworze w Bagdadzie. W młodości był znakomitym jeźdźcem, brał udział w długodystansowych rajdach konnych i konkursach hipicznych. Podtrzymywał tradycje hodowli koni anglo-arabów, zapoczątkowaną przez jego pradiadka Zygmunta Bnińskiego, który sprowadził ogiera z Bagdadu (stąd nazwa folwarku). Hodował ogiery dla stad państwowych i konie - remonty. Konie z hodowli Mieczysława Chłapowskiego uzyskały nagrody na wielu wystawach m. in. na Targach Wschodnich we Lwowie w 1927 i 1928 roku oraz na wystawie w Poznaniu w 1929 roku. General Dezydery Chłapowski w swoim bogatym w wydarzenia życiu często powtarzał i bliskie mu było powiedzenie "oko

Antoni Chłapowski



pańskie konia tuczy". Herb rodowy nad główną bramą pałacową zastąpił zegarem, który dokładnie odmierzał czas. Chłapowski dostąpił wielu zaszczytów w służbie napoleońskiej, ale było to okupione bohaterstwem, oddaniem sprawie za którą walczył i wierzył. Ale nastał czas powrotu i zakończenia wojaczki. Nadszedł inny etap w życiu. Był przecież właścicielem Turwi, Wronowa, Rąbinia, Rąbinka, Podborza. Z żołnierza błyskawicznie przeobraził się w gospodarza. Przekuł szablę na pług. W 1818 roku wyjechał do Londynu, a stamtąd do najlepszych gospodarstw, gdzie uczył się przez półtora roku, zwłaszcza u Williama Cooka, późniejszego księcia Leicester. Tam to właśnie "orał sam pługiem szkockim, stogi układał, bydło opatrywał, doglądał chowu koni". Żołnierzem był całą duszą i to usposobienie wlał w swoje gospodarstwo. Jak na wojnie sam rozstawiał placówki i do każdej zajął osobiście, tak i na wsi wszędzie był, wszystkiego sam doglądał. W 1838 roku generał był współinicjatorem powołania Towarzystwa Chowu Koni. Sprowadzał z zagranicy ogiery arabskie. Rano kiedy bardzo wcześnie wstawał i wychodził na podwórze przypatrując się spokojnie czyszczeniu i karmieniu koni, kiedy często bywał przy tych pracach, rzadko zdarzało się, że zwracał komuś uwagę, bo wszystko robiono według rozkazu. Legendarna za życia postać była bliska kolejnym pokoleniom, które odczytywały w biografii to, co w danej chwili było najbardziej potrzebne. Tradycja zobowiązuje, tym bardziej rodzinna i tak chlubna.

Elżbieta JANKOWSKA
Foto archiwum

Spełnione marzenie

Rok 2003 był dla mnie rokiem szczególnym. Śrem, moje miasto rodzinne obchodziło 750-lecie swego istnienia, ja miałem okrągłą rocznicę 50-lecia żeglowania oraz przepłynąłem Ocean Atlantycki na własnym jachcie "ZU&LU".

Zawsze lubilem wodę i pasjonowałem się żeglarstwem, patent żeglarski uzyskałem w 1953 r. W 1975 zbudowałem jacht, który nazwałem "AMBА". Był to jacht typu "GIGA", na którym pływałem po Mazurach. Rejsy morskie po Bałtyku rozpocząłem w 1977 r. na s/y "TROPICIEL", s/y "MORS" z Pucka czy s/y "ZAMONIT" z Gdyni. W 1986 r. w Grecji na Morzu Egejskim na s/y "CYGNUS" posmakowałem ciepłych wód.

Po uzyskaniu stopnia sternika morskiego powstał plan zdobycia własnego jachtu i pływania po ciepłych wodach. I tak w 1993 r. "GIGĘ" zamieniłem na zdewastowany jacht typu "Nefryt". Po rocznym remoncie jacht otrzymał nazwę "AMBА-2" i od 1994 do 2000 r., wakacje spędzałem pływając nim po Adriatyku. W międzyczasie jako wynajęty "kapitan" prowadziłem rejsy na s/y "ELBA" i na s/y "DUMBO" dookoła Korsyki. Tak zdobywane doświadczenia wywołały hasło - OCEAN.

Portem macierzystym "AMBY" był port Klubu Żeglarskiego "Odlewnik" w Śremie, a bosmanem na jachcie był Ryszard Ratajczak, który opiekował się tym jachtem, pływał nim, dokonywał niezbędnych remontów, utrzymywał w stanie wzorowym. Wspominam tu o tym, ponieważ Ryszard korzystał z mego jachtu w Polsce, a ja prawie 30 lat później gościłem na jego jachcie w St. Petersburgu na Florydzie.

W roku 2001 będąc w Stanach Zjednoczonych, zostałem zaproszony przez Ryszarda w odwiedziny, a przy okazji pomagałem mu przy remontach jachtów. W porcie, w którym mieszka, jest dużo jachtów, które wymagały drobnych napraw, a ja nie chcąc się nudzić pomagałem w ich remoncie. Zawsze pragnąłem mieć swój jacht morski. Zakładałem, że w Polsce sprzedam "AMBE", trochę dołożę i kupię jacht o długości 28 stóp.

Wędrując po porcie w St. Petersburgu dostrzegłem jacht bez masztu, ale ładny sylwetką, był na sprzedaż. Umówiłem się z właścicielem, w obecności którego obejrzałem jacht. Był dobrze wyposażony, ale bez masztu i osprzętu. Uzgodniłem cenę sprzedaży i tak stałem się właścicielem jachtu, a było to 25 kwietnia 2002 r. Od Ryszarda wyprowadziłem się i zaczął się dla mnie ciężki okres; przed południem pracowałem za pieniądze, a po południu remontowałem swój jacht. Tak ciężko jeszcze w życiu nie pracowałem. Zaczęło się uzupełnianie jachtu w brakujące

elementy: w maszt, wanty, żagle i szukanie wszystkich, co będzie potrzebne, aby przepłynąć Atlantyk.

Dnia 21 stycznia 2003 r. odbył się chrzest jachtu. Trochę nietypowo, bo zamiast matki chrzestnej, byli rodzice chrzestni w osobach Rysia Ratajczaka i mojej córki Agaty. Jachtowi nadano imię ZU&LU - od naszych wnucząt Zuzanny i Luka. Uroczystość była podniosła i sympatyczna. Była z nami moja żona Basia, córka Agata z wnukiem, wnuczka Zuza i wiele życzliwych ludzi, Polaków, którzy przybyli z okolicy.

Zastanawiałem się w gronie przyjaciół jak popłynąć do Europy. Zdania były podzielone, ale ostatecznie zdecydowaliśmy, żeby płynąć małymi etapami, a przede wszystkim sprawdzić w pierwszym etapie jak zachowuje się jacht i w razie jak coś się stanie, to korzystać z pomocy znajomych w USA. I tak zrobiłem. Podzieliłem trasę przez Atlantyk na 4 etapy: z St. Petersburga do Miami, później na Bermudy dalej na Azory i do Lizbony.

W pierwszym etapie z St. Petersburga do Miami płynęli ze mną studenci, Mikołaj Paszkowski - mistrz Polski AZS-u w dźdzo i Tomek Mikołajewski mieszkaniec Konina, obaj biegle mówili po angielsku, jeden był żeglarzem, a drugi perfekcyjnie znał się na komputerach i na wyposażeniu elektronicznym jachtu. Dostał pierwszy raz w życiu GPS-a i po paru minutach perfekcyjnie go obsługiwał.



Po serdecznym pożegnaniu z przyjaciółmi, a szczególnie z Rysiem i jego żoną Lidką, dzięki której nie schudłem i czułem się pod jej troskliwą opieką jak w domu, wyszliśmy z portu St. Petersburg 27 maja 2003 w nocy. Kierujemy się na Zatokę Meksykańską, później obieramy kurs na Hawanę, w której byliśmy dwa dni. Hawana - ładne, lecz zaniedbane miasto, ale blasku i kolorytu dodają mu piękne kobiety, gdyż ich uroda bierze się z mieszanek ras.

Po zwiedzeniu Hawany popłynęliśmy do Miami. W Miami czeka na nas znajomy naszych znajomych o imieniu Jurek, który przez telefon informuje mnie jak mam płynąć i gdzie cumować. Po pewnym czasie Jurek przyjechał do nas samochodem i pokazał nam gdzie jest poczta, sklepy, itd. Przeprosił nas, że nie będzie u nas gości wieczorem, gdyż musi być na wcześniej zaplanowanym przyjęciu. Ale zadzwonił do kilku swoich znajomych, których gościliśmy wieczorem na jachcie. Po pewnym czasie do naszego jachtu cumuje wielka motorówka i wychodzi z niej wraz ze wcześniej poznanym Jurkiem, sława polskiego żeglarstwa w klasie Finn z lat 60. Andrzej Zawieja. Niesamowicie ciekawy człowiek, król opowieści, gawędziarz, były trener kadry Amerykanów i Hiszpanów w klasie Finn. Przyjęcie na jachcie skończyło się późno po północy, a przed południem Jurek zabrał nas motorówką i pokazał okolice Miami. Byliśmy zachwyceni. W międzyczasie do Miami miał przylecieć samolotem Marek Troszyński, który miał ze mną płynąć przez Atlantyk.

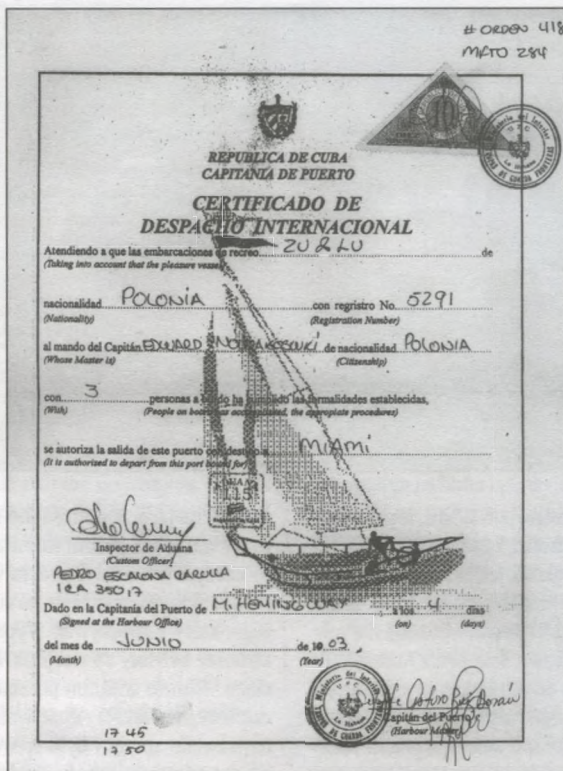
Marka do portu z lotniska przywiózł Piotr Worsztynowicz, który był na Florydzie na wakacjach. Patrz, jacht stoi na kotwicy, ponton przycumowany do burty, więc ktoś musi być na jachcie. Wołają z brzegu, a tu cicho. Marek nie widząc innego wyjścia rozebrał się, skoczył do wody i popłynął na jacht. Przez luk dziobowy, który zostawiłem otwarty, wszedł do środka, patrzy nikogo nie ma, odcumował ponton, popłynął na brzeg, pożegnał się z Piotrikiem, zabrał swoje rzeczy, popłynął na jacht i poszedł spać.

My wieczorem przyjeżdżamy i wołamy, żeby Marek po nas przyszedł pontonem na brzeg. Po powitaniu Marka przyszedł czas na pożegnanie Mikołaja i Tomka, którzy resztę wakacji chcą spędzić w Kalifornii.

Zostałem z Mareczkiem i zaczęliśmy przygotowania do drugiego etapu naszego rejsu. Po uzupełnieniu zapasów żywności i zatankowaniu wody, zadzwoniliśmy do wszystkich znajomych z informacją, że odpływamy i rozpoczynamy drugi etap naszego rejsu.

11 czerwca na silniczkach kanałami wypływamy z Miami i kierujemy się na Ocean Atlantycki. Ocean przywitał nas wiatrem o sile 28 węzłów w ciągu 9 dni tj. 20 czerwca dopłynęliśmy na Bermudy. Przepląaliśmy 1175 mil. Żegluga był wspaniała. Mieliśmy sprzyjający wiatr i średnio na dobę przepływaliśmy po 130 Mm. Płynęliśmy z Gólsztromem na północ wzdłuż brzegu amerykańskiego, aż do 40 równoleżnika i strefy wiatrów północnych. Jak zawiąło z północy, to skręciliśmy w prawo na wschód i wzięliśmy kurs na Bermudy. Jednak Bermudy źle nam się zapisały, popełniłem błąd nawigacyjny i wprowadziłem jacht na płytką wodę. Ude-

rzyłem kilem i sterem w kamień. Jak się później okazało, ster podbił dno, w dzień była właminowana tulejka, przez którą przechodził trzon steru, tulejka podskoczyła, powstała dziura w dzień przez którą lała się woda. Sytuacja była tragiczna, bo pompa elektryczna i wiadro nie pozwalały na skuteczne wybieranie wody, a nam z każdą chwilą brakowało sił. Zdecydowaliśmy się drogą radiową poprosić służby morskie na Bermudach o asystę, aby uratować życie i bezpiecznie przez rafy jak się da dotrzeć do portu. Pomocy udzieliła nam policja. Policjanci okazali się wspaniałymi ludźmi; na brzegu w wiosce, do której nas przyholowali, czekał na nas dźwig, przyjechali celnicy i odprawa paszportowa, darowali nam po 14 dolarów za wizę i potraktowali nas jako ludzi, którym trzeba udzielić pomocy. Ja wzięłem się za laminowanie, a Marek za porządkowanie naszego jachtu. Praca trwała do wieczora i rano w niedzielę spuszczone nas na wodę. Jeszcze trochę są-



REPUBLICA DE CUBA
CAPITANIA DE PUERTO

CERTIFICADO DE DESPACHO INTERNACIONAL

Atendiendo a que las embarcaciones en Puerto... de

nacionalidad POLOŃIA con registro No. 5291

si mando del Capitán EXARDO SANCHEZ de nacionalidad POLOŃIA

con 3 personas a bordo la permito las formalidades establecidas

se autoriza la salida de este puerto con destino a MIAMI

Dado en la Capitania del Puerto de M. HENRIQUEZ

del mes de JUNIO de 10.03

17 45
12 50

czyło, ale żeby wszystkich zadowolić mówiliśmy, że jest OK. No i przyszło do płacenia, chcieli od nas 500 dolarów, ale po negocjacjach i przy pomocy polskiej żubrówki cena spadła do 200 dolarów. Z tej wioski udaliśmy się do Saint George głównego ośrodka żeglarstwa na wyspie; duże kotwicowisko, dużo jachtów, wszyscy gdzieś płyną. Tam spotkaliśmy Polaków, chłopaka z dziewczyną, którzy jachtem trochę większym niż Giga płynęli do Gdańska.

Ponieważ mieliśmy podarty żagiel, więc musiałem poszukać żaglomistrza żeby go zszyl. Wchodzę do żaglomistrza, i on pyta, z jakiego jachtu, ja mu mówię, że z ZU&LU, a on "ach z Zulu to wy weszliście na mieliznę i potrzebowaliście pomocy". Wiedział o naszej przygodzie, gdyż wszyscy na wyspie mają włączone odbiorniki na kanał 16 i

słyszają, co dzieje się dookoła. Zresztą powiedział, że prawie codziennie ktoś na tę mieliznę wchodzi, bo są złe oznaczone głębokości; na mapie są 2 m głębokości, jak ja mam zanurzenia 1,5 m; to mam prawo sądzić, że przepłyne, okazuje się, że nie.

Na Bermudach byliśmy 4 dni i 24 czerwca 2003 r. wypłynęliśmy na Azory. To jest prawdziwy skok przez Atlantyk. Po odprawach celnych dostajemy od celniczki mapę, jak płynie Gólsztröm w tej części Atlantyku. Na tej mapie zaznaczamy punkty i środkiem tego Gólsztrömu, który ma prawie szerokość 1,5 Mm, płyniemy prawie tydzień. Przebiegi były super, a jedyna informacja, czy znajdujemy się na Gólsztrömie, to jest pomiar temperatury. W Gólsztrömie jest o 3 stopnie woda cieplejsza niż w Atlantyku. W pewnym momencie Gólsztröm nam uciekł, mimo że płynęliśmy jego środkiem i zdecydowaliśmy się płynąć prosto na Azory. Dopłynęliśmy na Hortę/archipeląg Azorów/ 13 sierpnia po 19 dniach. Przepłynęliśmy 2029Mm, a średnia przebiegu była 109 Mm. Azory to wielkie siedlisko ptaków, które z daleka sygnalizowały nam gdzie mamy płynąć. Na Hortę trzeba było wpłynąć od południa, między dwoma wyspami. Wiał niesprzyjający wiatr północny i jeszcze prąd znosił nas na południe. Pół dnia hałsowaliśmy między tymi wyspami i nie posuwaliśmy się do przodu. Dopiero użycie silnika pozwoliło na dopłynięcie do wyspy Fayal, na której znajduje się Horta. A tam przesympatyczni ludzie, niskie ceny i prawdziwa Europa. Urzędnik w porcie po tym jak dowiedział się, że jesteśmy z Polski, przy-

dzielił nam numer na kei 22, a pod numerem 24 stał jacht "Maria" Lutka Mączki, którym dowodził Jasiu Krzeptowski. Mieszkali na nim geologowie, którzy o godzinie 7 rano wychodzili na góry i prowadzili tam badania. Zrobiliśmy tam ładny polski wieczór, na którym był dyrektor Muzeum w Fayal, z którym można było się porozumieć, bo studiował w Moskwie i często bywa w Polsce. Marina wspaniała, dużo ludzi, ktoś

gdzieś wypływa, ktoś przypływa, ktoś potrzebuje pomocy, inny opowiada gdzie był, jeszcze inny gdzie płynie, umawiamy się na wieczorne przyjęcia, jest wspaniale.

Na Azory przyjechał Piotr Kłopotowski, z którym już we trójkę płyniemy do Lizbony. I tu zaczęło się piękne żeglowanie, bo



wachty na jachcie podzielono na trzech. Każdy miał 4 godziny wachty i 8 godzin wolnego. Jak płynęłam z Markiem, to każdy z nas miał 4 godzin wachty i 4 godzin spał. Jak trzeba było refować żagle, to robił to sam, żeby nie budzić tego, który odpoczywał. Wypłynęliśmy 16 sierpnia, a w Lizbonie byliśmy 25 sierpnia. Przepłynęliśmy 1028Mm w ciągu 9 dni ze średnim przebiegiem 114 Mm na dobę. W czasie rejsu mieliśmy dużo wolnego czasu, łowiło się ryby, naprawiało sprzęt i było sporo czasu na gotowanie. I tu swoim mistrzostwem popisывał się Marek.

W Lizbonie czekała na nas dziewczyna Marka, Olga. Agata, moja córka w tym czasie była w Hiszpanii na wakacjach. Jak dowiedziała się że przypływamy do Lizbony, to przyjechała, żeby nas powitać. Żegnała nas w Ameryce i witała nas w Europie.

30 sierpnia wypłynęliśmy z Lizbony, kierujemy się na południe w stronę Cieśniny Gibraltarskiej. W załodze Piotrką zastąpiła Olga, która nigdy nie była na morzu i od razu wypłynęła na Atlantyk. Chorowała, ale znosiła to dzielnie, jak cierpiała to w skrytości i w cichości. Zapewniała nam kulinarną opiekę, z czego byliśmy bardzo zadowoleni. Gibraltar przywitał nas bardzo niesprzyjającymi warunkami. Wiało ze wschodu, fala była wschodnia i Gibraltar nie chciał nas wpuścić. Weszliśmy do Tarify, miasta w Hiszpanii. Prognozy pogody były bardzo niekorzystne, z których wynikało, że jeszcze tydzień będzie wiało ze wschodu. W Tarifie staliśmy 2 dni.

Marek wyszukał w atlasie, że przy brzegu hiszpańskim jest przeciwny prąd, który może nas wprowadzić na Morze Śródziemne. Ruch w Cieśninie Gibraltarskiej był niesamowity. Statki jeden za drugim płynęły albo na Atlantyk, albo na Morze Śródziemne. 5 dni przed końcem złej pogody postanowiliśmy ruszyć przez Gibraltar. Zarefowaliśmy żagle i płyniemy. Na wysokości Słupów Heraklesa - przy brzegu hiszpańskim, (nazwa nadana w starożytności dwu górzystym przylądkom: Kalpe w Hiszpanii i Abila w Mauretanii, otaczającym od północy i południa Cieśninę Gibraltarską. Starożytni uważali je za najdalejszą granicę zamieszkałej ziemi. Według legendy słupy te ustawił Herakles w czasie swej wyprawy po woły Geryona), których nie było widać z powodu mgły w cieśninie, odkładamy się na lewy hals i w poprzek ruchu tych statków płyniemy do Ceuty w Afryce. Przypłynęliśmy wieczorem i cały następny dzień byliśmy w Ceucie. Było tam bardzo sympatycznie, tania, i poznaliśmy trochę Afryki. Na następny dzień płyniemy na Majorę. W międzyczasie Marek skontaktował się przez komórkę z Piotrem Bonieckim, który miał do nas dołączyć w Palma de Majorca, aby przyjechał na Ibizę. Na M. Śródziemnym nie wiało, więc przypłynęliśmy na Ibizę z dwudniowym opóźnieniem. Zwiedziliśmy miasto i wyspę, i 19 sierpnia popłynęliśmy na Majorę.

Musiałem odpocząć. Piotr poinformował mnie, że jest chętna załoga, która popłynie jachtem do Neapolu. Przekonał mnie i udałem się samolotem do Polski. W Śremie przed domem spotkało nas ogromne zaskoczenie. Tych, co przepłynęli Atlantyk, z wielką pompą powitali: żona Basia, znajomi oraz organizator całej imprezy powitalnej Marek Nowak.

Jasiu z załogą, żeglarze szuwarowi, nie mieli jednak wielkiej ochoty na rejs do Neapolu. Zadzwonił do mnie do Polski i stwierdził, że są złe prognozy pogody i oni przeprowadzili ten jacht z Las Palmas de Majorka na wschodnie wybrzeże Majorki do Porto Christo.

Po dwóch tygodniach z Olkiem Olechnowiczem polecałem na Majorę. Z Porto Christo wypłynęliśmy 15 września do Neapolu. Było to pływanie wakacyjne, rekreacyjne i spokojne. Olek łowił ryby, które wzbogacały nasz jadłospis. Zatrzymaliśmy się chwilę na Sardynii, aby 27 września zamocować w Neapolu. Miasto to nie wzbudziło naszej sympatii. Jak się mówi "zobaczyć Neapol i umrzeć", to myśmy dodali, że "zobaczyć Neapol i umrzeć, bo żyć się tu nie da".

W Neapolu Olka miał zmienić Leszek. Przyleciał Leszek Makowski, odważny żeglarz, ale szuwarowy, z którym miałem odbyć dalszą podróż do Chorwacji. Z Neapolu wypłynęliśmy 30 września i kierujemy się na Wyspy Liparyjskie. Na jednej z nich znajduje się wulkan Stromboli. Nocą podchodzimy do wyspy, a wulkan zionie ogniem. Widok i wrażenia są niesamowite. Wulkan wypływa ognistą lawę i robi się jasno, po chwili jest ciemno. Opływamy wyspę dookoła i nie znajdujemy miejsca do cumowania. Popłynęliśmy

do Mesyny, miasta na Sycylii przez zatokę Messyńska. Ponieważ pobyt w marinie był stosunkowo drogi, po uzyskaniu zgody na krótki bezpłatny postój zwiedzamy miasto, robimy zakupy, kąpiemy się i przygotowujemy do wypłynięcia. Jak byliśmy w mieście, to obok naszego jachtu zamocowali z jednej strony Niemcy a z drugiej strony Włosi. Ja mam wachtę kambuzową, więc rozmowę z sąsiadami prowadzi Leszek; mówi biegle językiem niemieckim. W czasie rozmowy Niemcy dowiadują się, że ja na jachcie przepłynęłem Atlantyk. Sąsiedzi gratulują mi wielkiego osiągnięcia, fotografują jacht, mnie, elementy wyposażenia jachtu i zapraszają do ucztowania. Ale my musieliśmy wypływać. Wypływając z Mesyny mieliśmy trochę problemów ze wstecznym prądem, ale wszystko poszło dobrze i popłynęliśmy na koniec włoskiego buta do Santa Maria di Leuca. Tam byliśmy dwa dni i stamtąd wypłynęliśmy na Adriatyk, który nas przywitał słoneczkiem, ciepłą wodą i prawie metrowym tuńczykiem na haku. Żeglłowaliśmy ze dwa dni i dotarliśmy do Dubrownika. Po dwóch dniach pobytu popłynęliśmy w kierunku wyspy Hvar, po drodze odwiedzając Korculę, gdzie zepsuł nam się silnik. Na Korculi zrobiliśmy odprawę i na żaglach popłynęliśmy do portu Vrboska na wyspie Hvar koło Splitu.

Tu zacząłem przygotowywać jacht do zimowania. Wysłipowałem jacht na ląd, wyjąłem zepsuty silnik, zrobiłem porządek we wnętrzu jachtu, zabezpieczyłem ponton i czekałem aż przyjedzie po mnie samochodem Ryszard Wasielewski. Załadowaliśmy samochód prawie po dach i szczęśliwie przyjeżdżamy do Polski.

Rejs przez Atlantyk do Europy był wielkim przedsięwzięciem organizacyjnym. Byłby on niemożliwy do zrealizowania, gdyby nie wielka wyrozumiałość moje żony Barbary, niezastąpione umiejętności organizatorskie Piotra Bonieckiego i wielka życzliwość bardzo wielu ludzi dobrej woli, którym za wszystko serdecznie dziękuję.

Edward NOWAKOWSKI
Foto archiwum

Parametry jachtu

Nazwa:	ZU&LU
Długość	8,90 m
Szerokość	3,00 m
Masa	5 ton
Zanurzenie	1,65 m
Grot	18,7 m ²
Fok	27 m ²
Koje	5
Wys. w kabinie	1,8 m
Silnik	YANMAR - DIESEL
Konstruktor	IRWIN

Warto przypomnieć

wszystko jest na ziemi ...

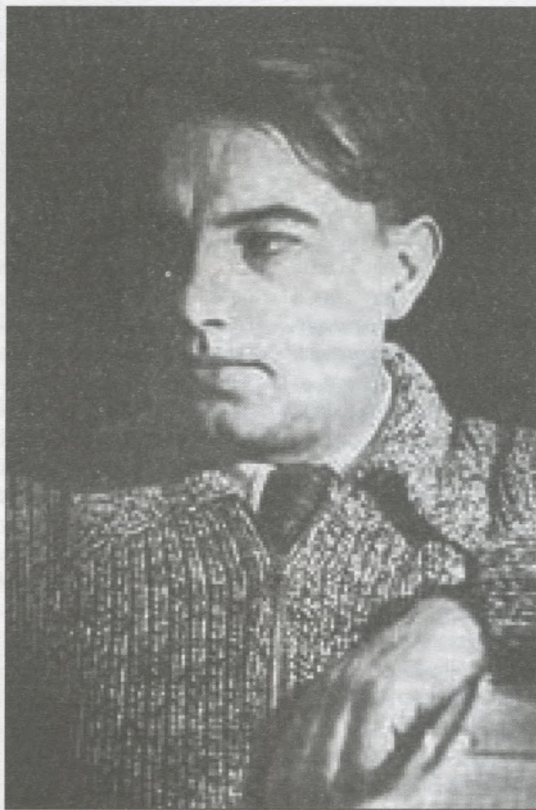
Józef Czechowicz był czołowym poetą grupy nazywanej Awangarda Lubelska, która nawiązywała do Awangardy Krakowskiej zamiłowaniem do metafory, lecz przywoływała też tradycyjne tematy, jak wieś, pejzaż, uczucia. Czechowicz był mistrzem międzywojennej liryki.

W dniu 15 marca 1903 roku, w Lublinie przy ulicy Kapucyńskiej 3, w suterenie, przyszedł na świat jako syn woźnego i praczki. Rodzice jego pochodzili z Krzczonowa i po przeniesieniu się do Lublina żyli w bardzo ciężkich warunkach materialnych. Starszy brat poety, Stanisław, zmarł na gruźlicę, mając zaledwie 26 lat. Siostra zaś, Kazimiera, zginęła w czasie ostatniej wojny. Przyszły poeta od 1913 roku uczęszczał do elementarnej szkoły rosyjskiej, w czerwcu zaś 1917 roku ukończył Pierwszą 7-klasową Szkołę Miejską (męską) w Lublinie. Następne etapy edukacji: kształcił się w Seminarium Nauczycielskim, ukończył Wyższy Kurs Nauczycielski w Lublinie oraz studia w Instytucie Pedagogiki Specjalnej w Warszawie. Jako młody absolwent otrzymał pracę w szkole jezuickiej w Słobódce, później zaś we Włodzimierzku. Pracował też w szkole specjalnej dla dzieci niedorozwiniętych umysłowo w Lublinie. Czechowicz szybko jednak zrezygnował z pedagogiki na rzecz literatury. Już w Słobódce powstały jego pierwsze liryki. Poeta nawiązał kontakty z literatami lubelskimi: Konradem Bielskim,

Wacławem Gralewskim i - nieco później - Stanisławem Gędzińskim. Przyjaźń i współpraca poetów wydała plon w postaci czasopisma "Reflektor". Tu właśnie w 1923 roku wydrukował swoją prozę poetycką *Opowieść o papierowej koronie*, jak również pierwsze utwory liryczne, między innymi jeden z najlepszych wierszy *Na wsi*. Lu-

belskie lata upływają Czechowiczowi pod znakiem poezji i pracy dziennikarskiej. Rodzinnemu miastu zawdzięcza też poeta pierwszy swój tomik *Kamień*, wydany w 1927 roku.

Pracując w Warszawie otoczył opieką wielu lubelskich literatów. Pomagał im materialnie, ułatwiał druk, sprowadzał do stolicy, szukał pracy. Szczególnie blisko opiekował się Czechowicz grupą poetów mieszkających przy ul. Dobrej 9: Wacławem Mrozowskim, Henrykiem Domińskim, Bronisławem Ludwikiem Michalskim i innymi twórcami z Lubelszczyzny. W 1932 roku wraz z Franciszką Armsztajnową założyli lubelski oddział Związku Zawodowego Literatów Polskich (ZZLP). W latach 1932-34 współpracował z dwutygodnikiem "Zet". We wrześniu 1933 roku przeniósł się do Warszawy i podjął pracę w centrali wydawnictwa Związku Nauczycielstwa Polskiego. Redagował pisma dla dzieci "Płomień" i "Płomyczek". W latach 1933-1934 był sekretarzem redakcji "Głosu Nauczycielskiego". Od 1933 roku współpracował z "Pionem" i "Kamienią", gdzie drukował wiersze, prozę artystyczną, dramaty, artykuły i



przekłady z poezji słowiańskich, francuskiej i angielskiej. W latach 1933-1935 redagował dodatek literacki do tygodnika Legionu Młodych "Państwo Pracy", był także redaktorem naczelnym "Miesięcznika Literatury i Sztuki" (1934-1936). Józef Czechowicz tworzył wizję pełne apokaliptycznych obrazów destrukcji i zniszczenia. Do Awangardy Krakowskiej zbliżał go lapidarny styl wypowiedzi, rezygnacja z dużych liter i interpunkcji. Jednak twórczość Czechowicza jest w dużej mierze odległa od programu Peipera, bowiem poeta nie tylko nie odcinał się od tradycji romantycznej, ale wręcz na nią się powoływał, czerpiąc z niej wizyjność i kreacyjność. Siegał także po jej symbole (krzyż, grób, noc, księżyc). Powoływał się na symbolizm francuski i polski modernizm (Wyspiański), eksponując wartość symbolu i nastroju w poezji.

W jego liryce można wskazać dwa opozycyjne nurty: sielankowo-arkadyjski i katastroficzny. Pierwszy zawiera poezję przedstawiającą wiejski pejzaż w liryczny sposób, drugi wyraża natomiast egzystencjalne niepokoje i obrazy oraz przeczucia i zapowiedzi wojny, zagłady świata, ukazwanej w apokaliptycznym wymiarze. *Na wsi* to poetycki opis wieczoru na wsi. Poeta kreuje tradycyjny, wiejski pejzaż, wskazuje typowe i charakterystyczne elementy: żyto, rzekę, pole, siano, wracające z pastwiska bydło, krzyże na rozstajach. Opis został zdynamizowany przez uchwycenie zmian związanych z upływem czasu (przedstawione zostało popołudnie, wieczór i noc) oraz przez nagromadzenie czasowników w metaforach. Dynamizm opisu nie odbiera jednak wierszowi jego sielskości. Poetycki obraz jest niezwykle bogaty i plastyczny. Autor oddziałuje na wyobraźnię odbiorcy przez określenie różnorodnych wrażeń zmysłowych: zapachu, kolorów i światła, dźwięku, ciepła. Czechowicz używa teraz wielu motywów i symboli apokaliptycznych: ognia, potopu, dymu i pożaru. Siega także do biblijnych odwołań. Nasila się złowrogi nastrój przyszłej katastrofy. W wierszu *Żal* - podmiot liryczny mówi o zagładzie, o własnej śmierci. Wszyscy jesteśmy skazani na zagładę. Podmiot utożsamia siebie z całą ludzkością. Pojawia się element wojny, podmiot mówi, że będzie strzelał do siebie (nawiązanie do I wojny światowej, podczas której Polacy, będący pod różnymi zaborami, strzelali do siebie). Zagłada będzie dotyczyła wszystkich. Zginą żołnierze, przestępcy, dzieci, kobiety, cywile. Ten świat stworzony przez cywilizację jest skazany na zagładę. Motyw ryku głodnych ludów, stanowiąc ma ryk, który doprowadzi świat do zagłady. Złowieszcze są również w wierszu *Świergoczące jaskółki*.

Na wieść o wybuchu wojny Józef Czechowicz wyruszył wraz z pracownikami redakcji Polskiego Radia w swoją

ostatnią podróż do rodzinnego miasta. Tutaj też w czasie jednego z pierwszych nalotów - w dniu 9 września 1939 roku - zginął od bomby niemieckiej i pochowany został na lubelskim cmentarzu.

Adam LEWANDOWSKI

Foto archiwum

Wykorzystano teksty prof. dr Władysława Panansa, wiadomości ze strony internetowej miasta Lublin.

Kołyśkanka

Dawno już ucielił
złoty kogucik
i królik biały kwiatów nie depte.
Ogromna Wisła
pod niebo wyszła,
z gwiazdami szepcze...

Gliniany konik
wszedł na wazonik,
by się spokojnie zdrzemnąć do świtu.
Synku maluśki,
do swej poduszki
i ty się przytul...
Jesień

Sumiał las, śpiewał las,
gubił złote liście,
świeciło się jasne słońce
chłodno a złościście...

Rano mgła w pole szła,
wiatr ją rwał i ziębił;
opadały ciężkie grona
kalin i jarzębin...

Każdy zmierzch moczył deszcz,
plakał, drżał na szybkach...
I tak ładnie mówił tatuś:
jesień gra na skrzypkach...

IZABELLA 2003

Muzeum Śremskie zgłosiło do udziału w konkursie na Muzealne Wydarzenie Roku w Wielkopolsce "Izabella" (za 2003 rok) album "Śrem poprzez wieki", który ukazał się jako zwieńczenie obchodów 750-lecia Śremu i otrzymało II nagrodę w kategorii osiągnięć z zakresu działalności naukowej, konserwacji i dokumentacji zbiorów za wymienioną publikację albumową.

Konkurs ogłaszany jest corocznie (II edycja) przez Stowarzyszenie Związków Muzeów Polskich Oddział Wielkopolski pod patronatem Marszałka Województwa Wielkopolskiego. Jego celem jest promocja najwybitniejszych osiągnięć z zakresu działań muzealnych w regionie oraz wyróżnienie instytucji muzealnych, autorów i realizatorów wybitnych dokonań muzealnych. Zgłoszenia do konkursu dzielą się na kategorie:

1. Wystawy
2. Formy upowszechniania działalności muzeów
3. Osiągnięcia z zakresu działalności naukowej, konserwacji i dokumentacji zbiorów

O przyznaniu nagród decyduje Kapituła Konkursowa powołana przez Marszałka Województwa Wielkopolskiego i Stowarzyszenie Związków Muzeów Polskich Oddział Wielkopolski.

Ocenie podlegają:

- innowacyjność tematu uniwersalność poruszanej tematyki
- promocja regionu atrakcyjność formy

Ogłoszenie wyników następuje 18 maja każdego roku w trakcie obchodów Międzynarodowego Dnia Muzealnika. W roku bieżącym uroczystości te miały miejsce w Kowalewku k. Konina, w których obok muzealników wielkopolskich wzięli udział przedstawiciele władz samorządowych wszystkich szczebli (tradycyjnie marszałek Stefan Mikołajczak) oraz posłowie i senator ziemi wielkopolskiej Ryszard Sławiński.

Muzeum wzięło udział w konkursie po raz pierwszy i przedstawiło album "Śrem poprzez wieki". Zawiera on kilkadziesiąt barwnych ilustracji (fotografii) pokazujących róż-

ne aspekty historycznego oraz współczesnego Śremu. Drugi element stanowi tekst, który w sposób syntetyczny opowiada o Śremie i ziemi śremskiej od czasów prehistorycznych do współczesności. Pozycja wydawnicza oprawiona jest w tekturę, kolorową okładkę i zawiera 80 barwnych

stron formatu A4. Wydano ją nakładem 750 egzemplarzy przy finansowym udziale Powiatu Śremskiego, Gminy Śrem i Śremskiego Ośrodka Wspierania Małej Przedsiębiorczości.

Autorami albumu są: Barbara Jahns - koncepcja, Mariusz Dziuba - opracowanie gra-

ficzne i fotografie, Mariusz Kondziela - opracowanie tekstu i redakcja.

W ocenie albumu dostrzeżono następujące walory:

1. Zilustrowanie historii miasta głównie poprzez fotografie obiektów pochodzących z zasobów Muzeum Śremskiego i prezentowanych w Muzeum Śremskim, przygotowanych specjalnie dla zgłoszonej publikacji (walory poznawcze i promocyjne).

2. Syntetyczny tekst omawiający rozwój przestrzenny miasta i przemiany społeczno-gospodarcze nierozłącznie związane z formami organizacji miejskiej, pozwalający na łatwe przyswojenie podstawowych wiadomości o historycznym Śremie (walor edukacyjny).

3. Dobór ponadczasowego materiału ilustracyjnego i tekstowego, sprawiający że album zachowa aktualność przez wiele lat.

4. Niebanalne, odbiegające od standardów tego typu publikacji opracowanie graficzne.

Album dostępny jest w stałej sprzedaży w śremskich księgarniach, bibliotece, muzeum oraz okazjonalnie podczas różnych imprez organizowanych w Śremie. Cena w Muzeum Śremskim - 40 zł za egzemplarz.



Foto: Barbara Jahns

Marszałek Stefan Mikołajczak wręcza Izabellę 2003 dyrektorowi Muzeum Śremskiego Mariuszowi Kondzieli

Książka z dedykacją

Spacerkiem w przeszłość

Jeśli się wybrało miejsce na życie, a potem zdobyło pewność bytu, to jest ten czas, kiedy można zwolnić i rozejrzeć się dookoła. Kim są otaczający ludzie, co mówią ulice, zaułki, domy?

U doktora Ryszarda Zawadzkiego był to moment zainteresowania, gdzie też mieściła się szkoła, do której aż z

Kujaw do Śreму przyjechała uczyć się jego babcia. I w ogóle oż to za dziwne zrzędzenie losu, że w poszukiwaniu pracy trafił akurat tutaj? Rozpoczął więc wędrówkę po babcinyh śladach. A że lubi wszystko wiedzieć dokładnie, nie poprzestał na rozpytywaniu znajomych, lecz zaczął u źródła czyli w Muzeum Śremskim. Ta kwerenda trwała ponad dwa lata podczas których, aż zachłysnął się historią Śremu. Zwłaszcza, że co krok natykał się na zagadki, które popychały go coraz dalej. Tak stał się historykiem-amatorem. Jego publikacje w śremskiej prasie zwróciły uwagę dyrektora Muzeum Śremskiego Mariusza Kondzieli, który poszukiwał autora do napisania ilustrowanej historii miasta. A jeszcze tak się złożyło, że dr Zawadzki nie tylko ma pasję i ciekawość poszukiwawczą, lecz potrafi także rysować. Był więc kandydatem idealnym do wykonania takiego projektu. W umowie pozostawiono jednak autorowi swobodę dysponowania tekstem na wypadek, gdyby Muzeum nie dostało funduszy na publikację. Tak się też stało. Dr Zawadzki nazbierał materiału o wiele więcej niż na zamierzony projekt, gdy trzeba było szukać innego wydawcy. Na szczęście znalazł się taki - Inter Press Agencja Reklamowo-Wydawnicza - który potrafił przekonać do sprawy licznych sponsorów. W efekcie otrzymaliśmy książeczkę "Przechadzki po Śre-mie".

Sześć rozdziałów, napisanych potoczystym językiem prowadzi nas przez lata 1000 - 1393, 1393 - 1793, 1793 -

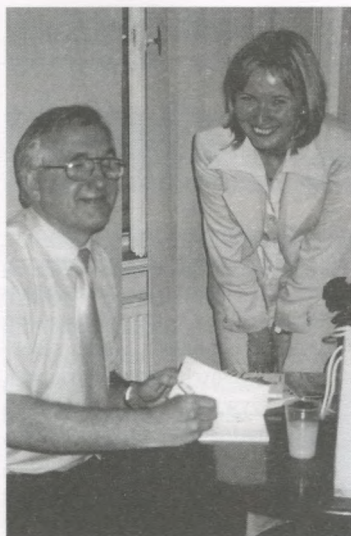
1918, 1918 - 1945, od 1945 i stanowi zasadniczą treść publikacji. Jednak o jej urodzie czy nawet o pewnej magii stanowi fakt, że autor obudował je legendami, ciekawostkami, zagadkami czy tajemnicami. Na to nie mógłby sobie pozwolić żaden historyk profesjonalista, ale też dzięki temu z beznamiętnych historycznych ustaleń mogą wy-

rzeć żywi ludzie, jak Borzywoj, księżna Jolenta, franciszkanie, bracia Barscy, Józef Wybicki, Tadeusz Świąciecki, obywatele, których pamięć czcimy wprawdzie przy odświętnych okazjach, ale nie potrafimy już wywołać ich twarzy.

Ma też i dr Zawadzki trochę pretensji do nas, że być może to wszystko do czego docierał podczas żmudnego zbierania materiałów jest nam znane, mamy pełne szuflady rodzinnych dokumentów, żyją w naszych rodzinach świadkowie wydarzeń, ale nie czujemy potrzeby utrwalenia tej najbliższej nam historii z rodzinnego kręgu. Zadaje nam niewygodne pytania, co wiemy o braciach Barskich, którzy wprawdzie karierę zrobili na krakowskim dworze, ale pochodzili ze Śremu. Ufundowali dla Śremu kościół św. Ducha i bi-

bliotekę, dla kraju wywojowali procenty od słynnych sum neapolitańskich, które królowa Bona pożyczyła Filipowi II na budowę jego Wielkiej Armady. Co wiemy o Józefie Wybickim, który w Manieczkach spędził dziesięć najszczęśliwszych lat swojego życia, a obywatelstwo zaprzysiągł uroczyście na śremskim rynku. Nosi jego imię Liceum, ale nie ma u nas materialnych pamiątek po tym wielkim Polaku. Jest jednak ciągle do uratowania kaplica w Manieczkach, która pozostała po pożarze dworu. Możemy podjąć to zadanie. Tak jak udało się zmobilizować społeczeństwo do uratowania kościoła franciszkańskiego. Bo przecież kiedy dr Zawadzki objeżdżał śremskie uliczki i dotarł na tyły kościoła franciszkańskiego zabolowały go te zbite witraże. Powiedział o tym swojej szefowej dr Barbarze Siwińskiej i





wiemy co potem nastąpiło - apel i wielka mobilizacja wszystkich, którym droga jest ta świątynia. W podobny sposób został odkryty grób rodziny Święcickich. Spoczywa tu Tadeusz, ojciec Heliodora, jego matka i rodzeństwo. I chyba trzeba będzie jeszcze się przyłożyć do odnowienia tej mogiły. Choć już i wydział Uniwer-

sytetu nosi imię Heliodora, to jego ojciec Tadeusz był przecież wielce zasłużony dla Śremu, był tu pierwszym lekarzem z prawdziwego zdarzenia. Minęło zaledwie stulecie, a już nie pamiętamy, gdzie mieszkali Święcicy.

Takich spraw jest mnóstwo. Dlatego dr Zawadzki apeluje do nas - otwierajcie szuflady, opowiadajcie swoje hi-

storie, niech nie zerwą się ogniwa łączące nas z minionymi pokoleniami. A zapomina się szybko. Kto dziś z młodych ludzi pamięta takie adresy jak "po Wańskich", "po Ilskich", "u Dzieciuchowicza", "u Ranusa", "u Miękusa", na Żydowskich Górach, na pierwszym, drugim czy trzecim moście? Sama mam wyrzuty sumienia, że nigdy nie czułam potrzeby upublicznienia faktu, iż mój ojciec Tadeusz Nowicki byłby prawdopodobnie tym dwudziestym ma liście rozstrzelanych 20 października 1939 roku. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w ostatniej chwili zdołał uciec. Kiedy Niemcy przyszli po niego, przeszukali dom od strychu do piwnic, nie znaleźli go. Był bezpieczny najpierw w Poznaniu, potem w Łodzi i wreszcie w Warszawie. To ważna dla mnie sprawa, ale pewnie też i dla pełnego obrazu przeszłości ważne są takie nasze pojedyncze losy. Składają się one na mozaikę dziejów stron ojczystych, które są na wyciągnięcie ręki, a które tak zafascynowały doktora Zawadzkiego, że zadał sobie dla nas trud odbycia tego spaceru w przeszłość.

Barbara NOWICKA

Foto: Barbara Jahns

Ryszard Zawadzki, "Przechadzki po Śremie", Inter Press Agencja Reklamowo-Wydawnicza, Śrem 2004 r., 27 zł. Wieczór autorski odbył się w czerwcu br. w Muzeum Śremskim.

Uczniowski mini-plener w Rożnowie pod Radhoštěm 30.05. - 4.06.2004

Jestem "czechofilką". Uwielbiam włóczyć się po Pradze i Czeskim Raju. Przepadam za knedlikami i innymi pysznościami czeskiej kuchni. Lubię Czechów za ich bezpośredniość i poczucie humoru (trochę Haška, trochę Hrabala...).

Z entuzjazmem przyjąłem zaproszenie do wzięcia udziału w wymianie uczniowskiej z ZUS (zavocka umelecka skola) w Rożnowie, a cztery zdolne i sympatyczne dziewczyny wybrałam z grupy uczęszczającej na moje zajęcia plastyczne w Śremskim Ośrodku Kultury. Były to: Małgosia Mitmańska, Olga Dekert, Marta Moškowiak i Martyna Kuta.

Rodzice ich zaakceptowali propozycję przyjęcia w przyszłym roku szkolnym młodzieży czeskiej. Miłą niespodzianką było zorganizowanie przez inicjatorów wymiany (Muzeum Śremskie) wygodnego dowozu Volkswagenem-busem pana Antoniego Błoszyka, który pojechał z nami i częściowo sponzorował eskapadę.

Wyjechaliśmy ze Śremu w niedzielę 30.05. i pod wieczór dotarliśmy do rożnowskiej szkoły, gdzie czekała na nas mgr Marié Chlebovska, nauczycielka w ZUS. Przyjęła nas



Foto: archiwum

niezwykle serdecznie i zabrała do siebie na kolację. Później nastąpiło zakwaterowanie i długie rozmowy przełamujące dystans. Trzeba było osłuchać się z językiem i jego melodyką, prosić o powtarzanie niektórych zdań i szybko przyswoić sobie fakt, że mimo wspólnych słowiańskich korzeni, często te same słowa mają inne znaczenie. To powodowało czasem zabawne nieporozumienia i skojarzenia...

Martyna miała niezbyt radosną minę, gdy na pierwsze śniadanie zaproponowano jej chrusty chleba, który na szczęście okazał się świeży..., bo chrusty to wcale nie chrusty tylko wręcz przeciwnie(!).

Cztery następne dni upływały w błyskawicznym tempie. Przedpołudnia spędzaliśmy poznając okolicę (piękny, górzący nad miasteczkiem Radhost, niedaleki malowniczy Solan - wzgórze porośnięte lasem mieszanym) oraz uroki Rožnova, zwłaszcza skansenu morawskiego budownictwa drewnianego, który na wszystkich zrobił duże wrażenie. Jest to muzeum żywe, gdzie pokazuje się nie tylko w jakich warunkach ludzie żyli, ale pracownicy demonstrują jak pracował młyn, piarnia, kuźnia, stolarnia...

To znakomite miejsce, by uwiecznić je na zdjęciach czy w szkicach, co chętnie robiliśmy.

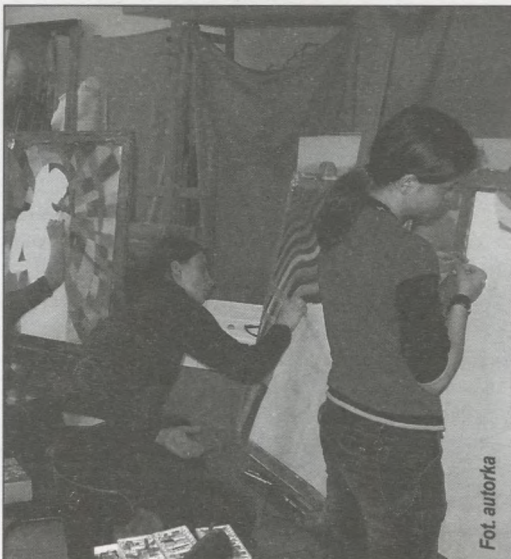
Popołudniami chodziliśmy do pracowni plastycznej prowadzonej przez Marię Chlebovską. Poznałyśmy dyrektora szkoły, jej wykładowców i uczniów, zajrzałyśmy do różnych pracowni, także muzycznych (szczegółowy opis szkoły można znaleźć w num. 5/6 z maja 2003 na str. 34).

Pani Maria sugerowała dziewczynom wykonanie malarstwa na szkło, która to technika, wywodząca się z ludowych tradycji, jest tu chętnie podejmowana, ale one zdecydowanie wolały pracować przy sztalugach i wybrały temat z cyklu pastelowych abstrakcyjnych kompozycji, który realizowały aktualnie ich czeskie koleżanki. Pracowały z dużym zaangażowaniem.

Miały też okazję poznać twórczość artystek-plastyczek, rzeźbiarki Vaškovéj i malarki Jany Ullrichowej. Pobyt w prywatnych pracowniach współczesnych artystów jest zawsze niezapomnianym przeżyciem, zwłaszcza że obie panie chętnie uchylały rąbka tajemnic warsztatowych.

Powrotna droga upływała na snuciu planów przyjęcia czeskich gości u nas. Chcielibyśmy, by czuli się tak dobrze jak my w Rožnovie. A ja, mimo że tyle jeszcze czasu do następnej wymiany zastanawiam się już nad tematami zadań plastycznych, które mogłyby być dla nich interesujące i które będziemy realizować wspólnie w Śremie.

Urszula BRYLEWSKA-ŁUKOMSKA
malarka, mgr sztuki, prowadząca zajęcia w
Studium Plastyki Śremskiego Ośrodka
Kultury



Fot. autorka

Kochające, porzucone, ofiarnice



Tak się złożyło, że koniec sezonu w Śremskim Stowarzyszeniu Przyjaciół Teatru upłynął pod znakiem kobiet. Nie chodzi tu oczywiście o jakieś zapędzanie się na irytujące feministyczne ścieżki, lecz o dotknięcie bardzo czulej struny ludzkich uczuć.

Od razy zabrzmiały one pełnią różnorodnych tonów w minispektaklu Joanny Waluszko - zaprezentowanym w maju w sali Klubu Relax w Śremie - zatytułowanym "Zaśpiewać jak kobieta". Minipektaklu, bo aktorka poznańskiego Teatru Muzycznego nie tylko pięknie zaśpiewała 13 przeciw znanych nam utworów, jak: "Na pierwszy znak", "Miłość ci wszystko wybaczy". O Adzie, która zachowuje się tak jak nie wypada, o tej która boi się sama spać i tej, która ma seks co pali niszczy. O dziewczynie Bładego Nika, Ziucie z Krosna, tej która nie wie czy zerwać, tej która zapewnia, że z nikim nie będzie mu tak źle jak z nią. I w końcu o tej po przejściach, która wszystko rozumie, niby niczego się już od miłości nie spodziewa, ale zawsze będzie gotowa na nowy zawrót głowy - z piosenki Hanki Ordonówny "Błękitny Express". Po prostu Joanna Waluszko z całym swym niemałym talentem dramatycznym, przy pomocy dobrze obmyślanych środków teatralnych, pokazała nam kilkanaście twarzy kobiet - jakie właściwie są, o czym marzą, dla kogo wciąż się zmieniają, zatracają, poświęcają, uciekają i wiecznie szukają? Często powtarzane słowa w odwiecznej grze uczuć między kobietą a mężczyzną nabrały znów żywych kolorów i mocy wzruszania. Choć

aktorka w przerwach na zmianę kostiumów i nastroju zachęcała widownię do przemyślenia, to jednak najważniejszą i pierwszą jest sztuka emocjonalnego zaangażowania publiczności, refleksja przychodzi później. I obie te reakcje udało się Joannie Waluszko wywołać. W czym też troszeczkę dopomogła wiosna za oknami i cudowny aromat kawy unoszący się w przyciemnionej sali.

Warto jeszcze dodać, że aktorka świeżo uhonorowana

nagrodami na Przeglądzie Piosenki Kabaretowej w Poznaniu O.B.O.R.A., przywiozła do Śremu spektakl przedpremierowy. Była już raz w naszym mieście i sądziła, że może śremskiej publiczności zawieźć rzecz świeżo powstałą, podać się jej osądowi i myślę, że wywiozła stąd jak najlepsze wrażenia.

O kobietach

jest też "Sinobrody", na którą to sztukę na początku czerwca wybrali się członkowie Śremskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Teatru do Kalisza. Nie była ona jednak opowiadaniem ani lekkim, ani może przyjemnym. Temat mrocznego rycerza Sinobrodego, Gillesa de Rais - który w 1440 roku został skazany na śmierć za dokonanie 140 mordów, w większości na dzieciach - był wielokrotnie wykorzystywany w literaturze, niekiedy nawet z przymrużeniem oka, jak w operetce Jakuba Offenbacha. Zawsze jednak bohaterem był człowiek, który zasmakował w zbrodni. Kaliska sztuka jest inna. Nosi ona wprawdzie tytuł "Sinobrody", ale z dodatkiem - "nadzieja kobiet". To ważna wskazówka wprowadzająca od razu w zamysł dramatur-



Aktorzy kaliskiego spektaklu od lewej - Izabella Piątkowska, Izabela Noszczyk, Jerzy Pożarowski i przedstawiciel Śremskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Teatru Jan Sip na spotkaniu w teatralnej kawiarence.

giczny twórcy sztuki Dei Loher. Ta współczesna autorka niemiecka wzięła pod lupę właśnie świat kobiet. Zaś Sinobrody jest tylko scenicznym uosobieniem uludy, jakąś fatamorganą azylu, gdzie kobiety po przejściach mają nadzieję ogrzać się, odpocząć, znaleźć współczucie, bezpieczeństwa, a może nawet miłość. Tylko niektórym uda się ująć całość.

Z gwaru zabawy, głośniego śmiechu, powoli wylaniają się pojedyncze postacie. Najpierw niepozorny, nieciekawcy, gapowaty Sinobrody (Jerzy Pożarowski) - sprzedawca damskiego obuwia - zakochuje się w delikatnej Julii (Lena Kowalska). Ta jednak choć tak młoda już została pozbawiona wiary, że ktoś może ją obdarzyć uczuciem. Dlatego sama odbiera sobie życie. Nie chodzi tu o uwiarygodnienie późniejszych skłonności Sinobrodego do zemsty na kobietach, lecz o pokazanie jak wcześniej dzisiejszy świat odziera ze złudzeń. Następne kobiety, jakie przewijają się przez scenę - Anna (Izabela Soroka), Judyta (Małgorzata Kaładkiewicz), Tanja (Izabela Noszczyk), Ewa (Katarzyna Strojna) i Krystyna (Agnieszka Kubies) też będą mówić, wręcz krzyczeć o tym samym - o przeraźliwej samotności, sądząc, że w Sinobrodym, takim pocziwcu znajdą to, czego szukały dotąd na próżno. Przeważnie znajdują śmierć. To ciekawe, że siły, aby iść dalej znajduje jedynie Niewidoma (Izabella Piątkowska).

Reżyser spektaklu Norbert Rakowski, związany z warszawskim Ateneum, przydał temu zwierciadłu

tę drugą stronę, prawdziwszą niż chciałyby pokazać bohaterki. Każdej postaci kobiety towarzyszy druga, tańcząca i odzwierciedlająca prawdziwe jej oblicze, nie zaś to wyrażone w dialogu czy raczej monologu z Sinobrodym. To zadanie pięknie wykonały tancerki Teatru Tańca Alter - Izabela Chlewińska, Barbara Durczak, Sandra Hirsch, Magdalena Witwicka, Bożena Jurewicz i Monika Bieniek.

Ascetyczna scenografia Wojciecha Stefaniaka potęguje atmosferę pustki i beznadziei, a nad sceną bezzwrotnie przepływa szary rekin. Sinobrody czy po prostu człowiek, tak codziennie, po ludzku okrutny dla drugiego człowieka? Przejścia bohaterek sztuki nie są jakieś szczególne, nie ma tam spraw, o których nie słyszeliśmy, nie znali czy nie rozumieli, co to znaczy być oszukana, zdradzoną, opuszczoną, samotną, pozbawioną nadziei. Dopiero ich masowość jest przerażająca. Ale my jeszcze umiemy być razem. I choć ta różnica doświadczenia może osłabiać porozumienie z widownią, to zawsze warto wiedzieć, co nam grozi i przed czym należy się bronić, póki jeszcze czas. Tego uczy nas kaliskie przedstawienie "Sinobrodego".

Stowarzyszenie Przyjaciół Teatru wypadem do Kalisza zakończyło sezon. Lato wykorzysta na odnowienie siedziby i stworzenie nowego programu działania. A więc do jesiennych.

Barbara NOWICKA
Foto: Edward Knasiak



Joanna Waluszko jako kobieta, która poznała tajemnicę miłości.

Niemen na pięć głosów i fortepian ZAMIAST POŻEGNANIA

Nawet nie zauważyliśmy jak Czesław Niemen, początkowo wyśmiewany za swoją inność, zadomowił się w naszym życiu. I to do tego stopnia, że kiedy przyszło wybierać wokalistę 50-lecia, zwyciężył bezapelacyjnie. Sam się tym dziwił, a może i trochę wystraszył, że już zaczęło się jego "brązowienie". Ale nie ulegało wątpliwości, że już stał się klasykiem. Znanym jednak większości z takich piosenek jak "Pod papugami", "Mimozami jesień się zaczyna" czy "flagowego" utworu "Dziwny jest ten świat".

Na koncert poświęcony Czesławowi Niemenowi wybrałam się więc z ciekawością, tym większą, że nosił on intrygujący tytuł "Szkoła tańców salonowych". I rzeczywiście koncert w Kinie "Słonko" rozpoczął się brawurowym wykonaniem utworu tytułowego, z repertuaru Igi Cembrzyńskiej. Dopiero potem Krzysztof Maciejewski, autor i aranżer tego projektu muzycznego, wstał od fortepianu i wyjaśnił, że wiadomość o śmierci Niemena zmieniła całkowicie pierwotny zamysł koncertu i zespół wokalny Śremskiego Ośrodka Kultury wspólnie postanowił, że resztę wieczoru wypełnią utwory z repertuaru zmarłego artysty.

Snop białego światła reflektora wyłonił z ciemności sylwetkę Julii Rybakowskiej, która ciepłym, pięknym głosem zaczęła śpiewać "Gdzieś obok nas, życia nurt, światła blask, miasta rytm, gwarne szum...", potem wspólnie z Dorotą Grzywaczyk "Coś co kocham najwięcej". Dorota zaśpiewała następnie "Pamiętam ten dzień", a już za sekundę Romana Filipowska skarżyła się na "Ten los, zły los", potem w bezbłędnym tempie następowały utwory: "Kłęcząc przed tobą" wykonany przez Anię Łaskę, "Czy wiesz o tym, że" wyśpiewany przez Ewę Romanowską. Kolejno wystąpiły: Julia Rybakowska ze swoją interpretacją "Nie wiem czy to warto" i znów Ewa Romanowska z "Jeszcze sen", Ania Łaska z utworem "Stoję w oknie" i Romana Filipowska z "Wiem, że nie wrócisz". I potem kulminacja - "Dziwny jest ten świat" w wykonaniu Doroty Grzywaczyk. Utwór, którego nikomu poza Niemenem nie udawało się wykonać zadowalająco, Dorota wniosła jakby bez wysiłku.

Na sali panowała przejmująca cisza, przed oczami widzów przesunął się jakby czarno-biały film o Niemenie, opowiadający o tym, co kochał, czego nigdy nie zapomni, o losie złym i dobrym, o tym czy warto kochać, czekać, kłęśćć błagając o miłość choć się wie, że ona już nie wróci. Wydawało się, że tym razem Niemen przejął nas nie tylko

swą muzyką, ale dosłownie przemówił. Kiedy na koniec wokalistki zaśpiewały: "Dobranoc już dziś więcej nie będziem bawili/ niech anioł snu modrymi skrzydły cię otoczy./ Dobranoc niech odpoczną po łzach twoje oczy./ Dobranoc niech cię serce pokojem zasil..." wzruszenie przedzieliło się w burzę oklasków i owację na stojąco.

Zabieranie się za twórczość artysty tak obrosłego legendą jak Niemen jest zawsze niebezpieczne, a sukces niepewny. Gdzie zatem tkwi źródło sukcesu śremskiego koncertu? Można go upatrywać w tym, co mówi autor projektu Krzysztof Maciejewski - w odpowiednim doborze utworów, aranżacji i wykonawstwie. To podstawa, a reszta to praca, praca, praca... Od stycznia aż do końca, czyli 3 maja.

Kiedy zespół zdecydował się wziąć za Niemena, Krzysztof Maciejewski rozpoczął opracowanie projektu od zastanowienia się nad tym, co było istotą twórczości Niemena i doszedł do wniosku, że to jego romantyzm i liryczność. I że to jest tak bardzo bliskie kobietom, więc wykonawstwo należy powierzyć tylko dziewczynom. Konsekwencją tego był taki dobór tekstów, aby mogły one wykonywać je w pierwszej osobie. A także, aby śpiewały o sprawach, które mogą już same odczuć, aby nie były to piosenki najbardziej znane i w końcu, aby poszczególne utwory były dopasowane do możliwości wokalnych, temperamentu i zdolności dramatycznych wykonawczyń.

A aranżacja miała nie przeszkadzać, być czysta, wręcz klasyczna. Więc tylko fortepian, bez żadnych dodatkowych instrumentów. Miała być tylko dopełnieniem, oszczędnym, tylko raz po raz przywołującym pewne motywy z oryginalnych aranżacji Niemena. Z wyjątkiem utworu "Dziwny jest ten świat" - tutaj wszystko zostało tak, jak u Niemena. W ogóle chodziło o to, aby nie tworzyć jakiejś bladej kopii Niemena, lecz wydobyć istotę Niemenowskiej zagadki.

Pomyślano też o oszczędnym ruchu scenicznym - grze białego światła reflektorów i ciemności sali, kontakcie z widzami. I tu sala Kina "Słonko" znakomicie spełniła swoją rolę. Na końcu miało się przeświadczenie, że oto twórczość Niemena oddzieliła się od Mistrza. On sam przepłynął już na drugą stronę rzeki swego życia. A na brzegu zostawił skarb zawierający wszystkie jego uczucia, nostalgie czy nawet właściwy ludziom kresów fatalizm. Ania, Julia, Dorota, Ewa, Romana i Krzysztof unieśli tę kruchą materię tak delikatnie, jak tylko można. I pewnie sam Niemen

uśmiechał się z zadowoleniem w swoim wiecznym pomieszkaniu, że ktoś tak ładnie to niesie i pewnie to wystarczyło mu zamiast pożegnania.

Zespół wokalny Krzysztofa Maciejewskiego funkcjonuje przy Śremskim Ośrodku Kultury. Ma tu bazę do ćwiczeń, gwarantowaną fachową obsługę koncertów, pieniądze na realizację projektów. Dotychczas każdego roku realizowano jeden projekt. Co roku we wrześniu prowadzone są przesłuchania kandydatów do zespołu. Z tymi, którzy się zakwalifikowali prowadzi się pracę przez dwa miesiące, sprawdza ich możliwości, uzdolnienia, a potem wybiera tych, którzy najlepiej mogą wypełnić założenia kolejnych projektów. Obecnie tworzy go pięć dziewcząt. Najdłuższy staż ma Dorota Grzywaczyk, która bierze udział w realizacji już czwartego projektu i Julia Rybakowska, która zaliczyła udział w "Wierszu prostym". Anna Laska, Ewa Romanowska i Romana Filipowska przystąpiły do niego jesienią ubiegłego roku. Członkinie innych zespołów chóralnych działających w Śremskim Ośrodku Kultury wzajemnie się zachęcały, aby spróbować poezji śpiewanej. Nie mogłyby sobie wybaczyć, że miały taką okazję i z niej nie skorzystały. W zespole otworzyły się na piękno i sztukę, a ponieważ są w wieku przedmaturalnym niemal każda planuje dalszą naukę na kierunkach artystycznych. Ania wybiera się na edukację artystyczną w zakresie sztuki muzycznej w Kaliszu. Dorota jeździ na konkursy poezji śpiewanej. W przyszłości chce kontynuować wokalistykę. Była na konsultacjach w Katowicach, ale wydaje się, że na studia dzienne będzie ciężko się dostać. Romana planuje rok intensywnej pracy wokalne i trochę aktorskiej korzystając z możliwości, jakie stwarza poznański Zamek. Julia nie chce nic zdradzać, żeby nie zapeszyć, ale można się domyślać, że nie pójdzie drogą rodzinnych tradycji lekarskich, tak jak i Ewa. Zresztą jeszcze mają przed sobą rok do zastanowienia.

To tylko pięć dziewcząt, których uzdolnienia pomógł rozwinąć Śremski Ośrodek Kultury. A takich młodych, utalentowanych ludzi przewinęły się tu setki. Dotychczas sito pracownicy wyłapywało diamenty. Czy będzie tak dalej? To trudne pytanie. Kłopoty finansowe zaczęły się już we wrześniu ubiegłego roku. W związku ze zmniejszeniem dotacji dla Śremskiego Ośrodka Kultury, także w tym roku pieniądze przeznaczone na działalność zespołu skończyły się w maju wraz z ukończeniem Niemieńskiego projektu. Na dalszą pracę jesienią nie ma zagwarantowanych środków. Tak więc, to czy zespół

będzie od jesieni mógł znów ćwiczyć i w maju przyszłego roku przygotować równie piękny projekt stoi pod znakiem zapytania. Dyrektor Śremskiego Ośrodka Kultury Gabriela Wiesielewska marzy o sytuacji, kiedy o zaprzestaniu finansowania decydowałby brak talentów a nie pieniędzy.

Barbara NOWICKA

Foto: Maciej Ratajczyk

Koncert "Szkoła tańców salonowych"

Premiera 3 maja 2004 roku.

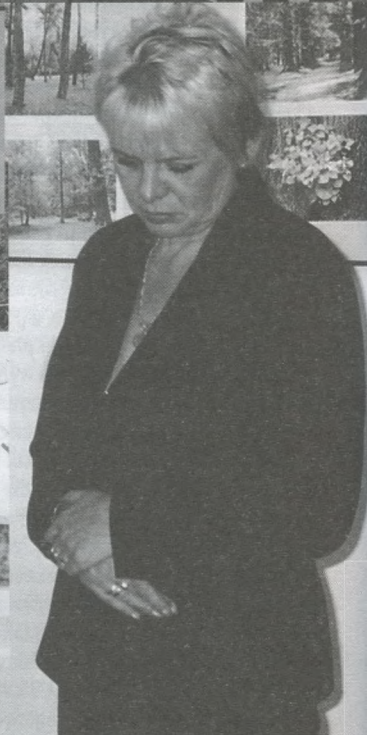
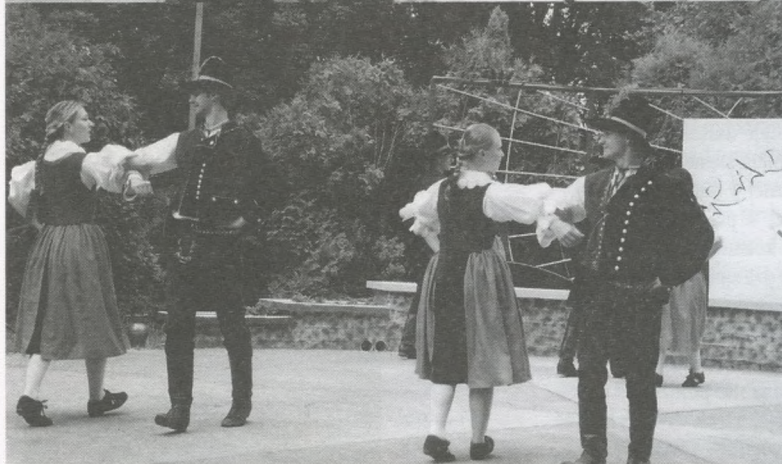
Scena kina "Ślonko" w Śremie

Projekt, aranżacja, przygotowanie

- Krzysztof Maciejewski

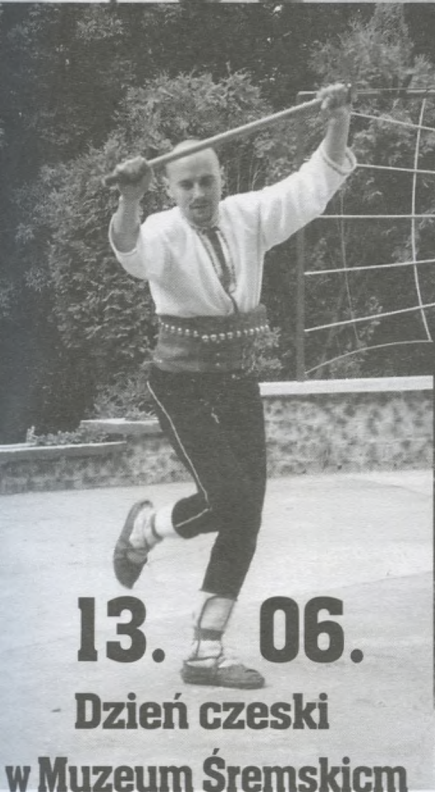
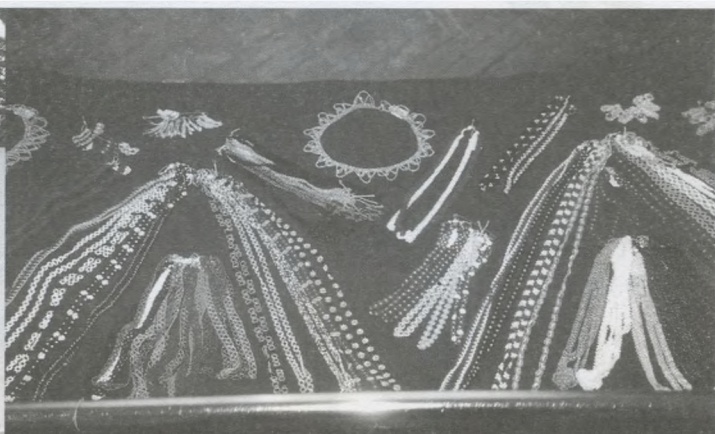
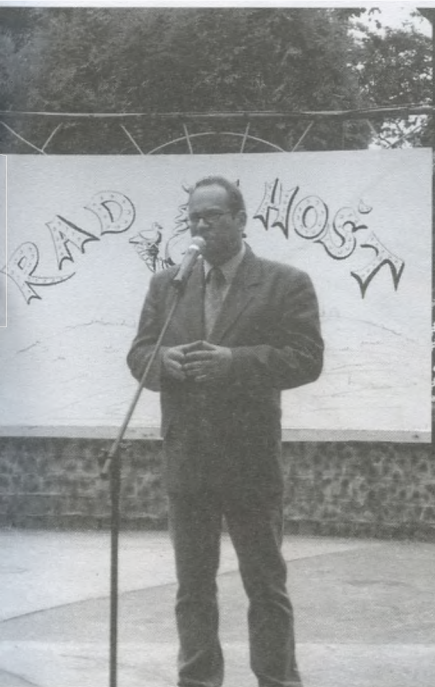
Wykonawcy: Romana Filipowska, Dorota Grzywaczyk, Anna Laska, Ewa Romanowska, Julia Rybakowska, Krzysztof Maciejewski





Rožnov pod Radhoštěm





13. 06.

**- Dzień czeski
w Muzeum Śremskim**



Foto: Przemysław Jahns



Zbigniew Baranowski
dyrektor Zespołu Szkół Technicznych
im. Hipolita Cegielskiego
w Śremie

GAZETA ŚREMSKA - siedziba redakcji - Muzeum Śremskie, 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 061/28 35 938, e-mail: muzeum@nx.pl, www.muzeumsremskie.nx.pl

Redagują: Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny), Barbara JAHNS (redaktor prowadzący).

Wydawca: Urząd Miejski w Śremie

Skład komputerowy, fotonaświetlanie: WIGO, Śrem, tel./fax (061)28-30-216, e-mail: wigo@pro.onet.pl

Druk: S. Tomczak, Śrem, tel. (061) 28-35-068.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam oraz zmiany programów i terminów wprowadzonych po oddaniu numeru do druku.



ST. PETERSBURG - MIAMI - BERMUDY - AZORY - LIZBONA

SPEŁNIONE MARZENIE ŚREMIANINA

Edwarda Nowakowskiego

